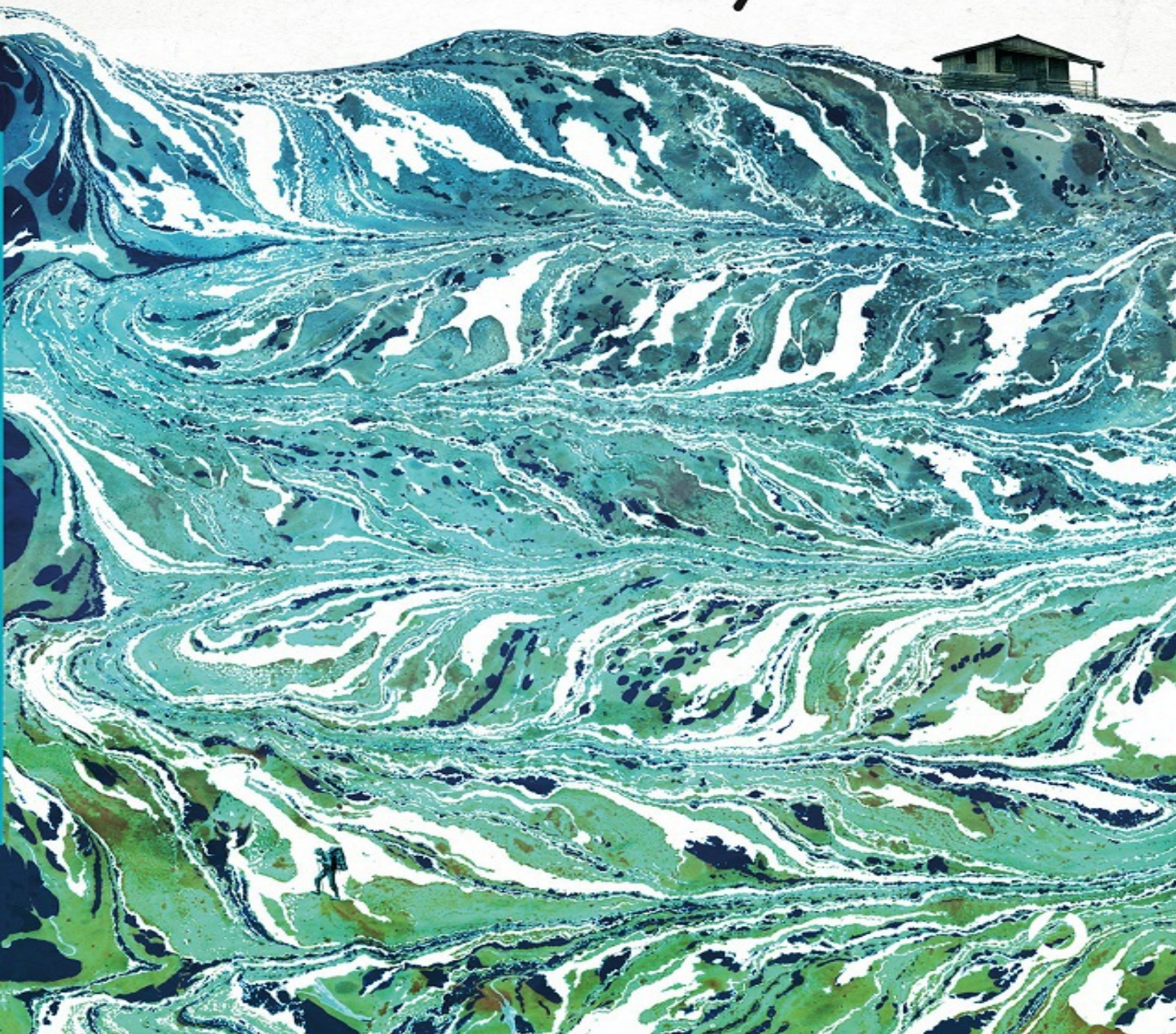


Poruszająca i lodowato piękna opowieść.

Ignacy Karpowicz

**ROBERT SEETHALER**

*Całe życie*



ROBERT SEETHALER

*Całe  
życie*

TŁUMACZENIE EWA KOCHANOWSKA



**OTWARTE**

KRAKÓW 2017

Pewnego lutowego poranka tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku Andreas Egger dźwignął z przesiąkłego na wskroś wilgocią i zalatującego kwaśną wonią siennika umierającego pasterza kóz Johannesesa Kalischkę, którego mieszkańcy doliny wołali Rogaty Jasiek, by trzykilometrową, zagrzebaną pod grubą warstwą śniegu górską ścieżką znieść go do wioski.

Wiedziony osobliwym przecuciem udał się do Rogatego Jaśka i znalazł go w jego chacie zwiniętego pod górą starych kozich skór za dawno wygasłym piecem. Wychudzony jak szkielet i blady jak upiór nieruchomym wzrokiem wpatrywał się z ciemności w Eggera, który zrozumiał, że śmierć stoi już u wezglowia. Wziął go jak dziecko na ręce i ostrożnie usadowił na wyścielonym suchym mchem drewnianym nosidle, w którym Rogaty Jasiek przez całe życie, uginając się pod ciężarem, dźwigał po stokach drewno na opał i ranne kozy. Opasał go postronkiem, przywiązał do ramy nosidła i zaciągnął węzły tak mocno, że aż drewno zatrzeszczało. Gdy spytał Rogatego Jaśka, czy coś go boli, ten potrząsnął głową i wykrzywił się w uśmiechu, ale Egger wiedział, że kłamie.

Pierwsze tygodnie roku były niezwykajnie ciepłe. W dolinach stopniał śnieg, a w wiosce słyhać było bezustanne kapanie i chlupanie wody roztopowej. Jednak kilka dni temu znowu chwycił lodowaty ziąb, a z nieba śnieg sypał tak gęsto i nieprzerwanie, że zdawał się pochłaniać cały świat wraz z jego miękką codziennością i dławić wszelkie życie i każdy szmer. Przez pierwszych kilkaset metrów Egger nie odzywał się do drżącego mężczyzny na swoich plecach. Jego uwagę wystarczająco zaprzętała droga, która wiła się w dół stromymi zakosami i którą w śnieżnej zamieci wyczuwał raczej, niż widział. Co pewien czas czuł, że Rogaty Jasiek się porusza.

– Tylko mi teraz nie umrzyj – rzekł głośno, nie oczekując odpowiedzi. A jednak gdy minęło już niemal pół godziny, a w uszach słyssał tylko swój

ciężki oddech, z tyłu dobiegła odpowiedź:

– Śmierć nie byłaby taka najgorsza.

– Ale nie na moim grzbiecie! – odparł Egger i zatrzymał się, by poprawić skórzane rzemienie na ramionach. Przez chwilę wsłuchiwał się w bezgłośnie padający śnieg. Cisza była zupełna. To było milczenie gór, które tak dobrze znał, a które nadal lekkiem przeszywało mu serce. – Nie na moim grzbiecie – powtórzył i ruszył dalej. Za każdym zakrętem śnieg zdawał się padać jeszcze gęściej, nieprzerwanie, miękko i bez najmniejszego szmeru. Z tyłu Rogaty Jasiek poruszał się coraz rzadziej, póki ostatecznie nie znieruchomiał i Egger liczył się już z najgorszym.

– Umarłeś? – zapytał.

– Nie, ty kulawy czorcie! – padła zaskakująco wyraźna odpowiedź.

– Tak tylko mówię. Musisz jeszcze wytrzymać do wioski. Potem możesz robić, co chcesz.

– A jeśli nie chcę wytrzymać do wioski?

– Musisz! – powiedział Egger. Uznał, że dość już pogadali i przez następne pół godziny dążyli przed siebie w milczeniu. Niecałe trzysta metrów nad wioską, na wysokości Sępiej Baszty, gdzie pierwsze kosówki kuliły się pod śniegiem niczym garbate krasnale, Egger zboczył z drogi, potknął się, siadł na tyłku i zjechał dwadzieścia metrów w dół po zboczu, póki nie zatrzymał go głaz wielki jak człowiek. Pod osłoną skały powietrze stało nieruchome, a śnieg zdawał się padać jeszcze wolniej, jeszcze ciszej. Egger siedział na ziemi, plecami lekko oparty o nosidła. W lewym kolanie czuł kłujący ból, ale do wytrzymania, a noga była cała. Rogaty Jasiek przez chwilę się nie ruszał, po czym nagle zaczął kaszleć, a wreszcie mówić ochrypłym głosem i tak cicho, że ledwie dało się go zrozumieć:

– Andreasie Eggerze, gdzie chcesz leżeć?

– Co?

– W jakiej ziemi chcesz być pochowany?

– Nie wiem – odparł Egger. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, zresztą jego zdaniem nie opłacało się trwonić czasu i myśli na takie rzeczy. – Ziemia to ziemia, a gdzie człowiek leży, na jedno wychodzi.

– Może i na jedno wychodzi, tak jak w końcu wszystko na jedno wychodzi – usłyszał szept Rogatego Jaśka. – Ale tam będzie ziąb. Ziąb, który człowiekowi kości przeżera. I duszę.

– I duszę? – zapytał Egger, któremu nagle dreszcz przebiegł po plecach.

– Przede wszystkim duszę! – odpowiedział Rogaty Jasiek. Wysunął głowę jak najwyżej ponad krawędź nosideł i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w ścianę z mgły i sypiącego śniegu. – Duszę i kości, i ducha, i wszystko, w co wierzył i czego przez całe życie się trzymał. Wszystko przeżre w człowieku ten wieczny ziąb. Tak jest napisane, tak to właśnie słyszałem. Ludzie powiadają, że śmierć rodzi nowe życie. Ale ludzie są głupszy od najgłupszej kozy. Powiadają, że śmierć niczego nie rodzi! Śmierć to Zimna Pani.

– To... co?

– Zimna Pani – powtórzył Rogaty Jasiek. – Idzie ponad górą, skrada się doliną. Przychodzi, kiedy chce, i bierze, czego potrzebuje. Nie ma twarzy i nie ma głosu. Zimna Pani przychodzi i bierze, i idzie. To wszystko. Dopada cię w przelocie i zabiera ze sobą, i wciska do jakiegoś dołu. I w ostatnim skrawku nieba, jaki widzisz, zanim na zawsze cię zakopie, pojawia się raz jeszcze, i czujesz na twarzy jej tchnienie. I wszystko, co ci zostaje, to ciemność. I ziąb.

Egger spojrział w zaśnieżone niebo i na chwilę ogarnął go strach, że coś mogłoby się tam pojawić i owiać mu twarz swym oddechem.

– Jezu – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – To paskudnie.

– Tak, to jest paskudne – odparł Rogaty Jasiek głosem ochrypłym ze strachu. Obaj mężczyźni zamarli w bezruchu. Poprzez zastygłe powietrze słyhać było teraz cichy śpiew wiatru, który wiał ponad skalną granią, wzbijając fontanny śniegu. Nagle Egger poczuł jakiś ruch i sekundę później przewrócił się, padając

plecami na śnieg. Rogaty Jasiek zdołał w jakiś sposób rozluźnić węzeł i błyskawicznie wygramolić się z nosidła. Stał teraz przed nim, wyschnięty na wiór pod okrywającymi go łachmanami, i lekko chwiał się na wietrze. Eggera znów przeszył dreszcz.

– W tej chwili siadaj z powrotem – powiedział. – Jeszcze coś złapiesz.

Rogaty Jasiek znieruchomiał z wyciągniętą głową. Przez chwilę zdawał się nasłuchiwać pochłanianych przez śnieg słów Eggera. Po czym obrócił się i wielkimi susami zaczął zbiegać z góry. Egger podniósł się z trudem, pośliznął, klnąc, upadł z powrotem na wznak, podparł się obiema rękami i znowu stanął na nogi.

– Wracaj! – zawołał za umykającym ze zdumiewającą prędkością pasterzem kóz. Jednak Rogaty Jasiek już go nie słyszał. Egger ściągnął rzemienie z ramion, odrzucił nosidło i pognął za nim. Ale już po paru metrach musiał przystanąć, ciężko dysząc, z bocze w tym miejscu było nadto strome i z każdym krokiem zapadał się w śniegu aż po pas. Koścista sylwetka szybko malała, póki wreszcie nie znikła całkowicie w nieprzejrzanym bieli śnieżnej zawieruchy. Egger stulił przy ustach dłoń w trąbkę i ryknął na całe gardło: „Stój, stój, ty dumny psie! Przed śmiercią jeszcze nikt nie uciekł!”. Na darmo jednak, Rogaty Jasiek przepadł.

\*

Andreas Egger zszedł ostatnie paręset metrów do wioski, by w gospodzie Pod Żółtą Kozicą rozgrzać swą do głębi przerażoną duszę miską pączków na smalcu i pędzoną domowym sposobem ziołową wódką. Znalazł sobie miejsce tuż koło starego, kaflowego pieca, położył dłoń na stole i poczuł, jak ciepła krew powoli zaczyna krążyć mu w palcach. Drzwiczki pieca były uchylone, wewnątrz buzował ogień. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że dostrzega w płomieniach twarz pasterza kóz, wpatrującego się w niego nieruchomo. Prędko zamknął palenisko i z zaciśniętymi oczyma wychylił sznapsa. Gdy znów je

otworzył, stała przed nim młoda kobieta. Po prostu tak stała, z rękoma wspartymi na biodrach, i patrzyła na niego. Włosy miała krótkie i jasne jak len, jej skóra nabrała różowej barwy od ciepła pieca. Eggerowi przyszły na myśl dopiero co urodzone prosięta, które jako mały chłopiec wyciągał czasem ze słomy i w których miękkie brzuszki, pachnące ziemią, mlekiem i świńskim łajnem, wtulał twarz. Opuścił wzrok na swoje ręce. Nagle wydały mu się dziwne, gdy tak leżały; ciężkie, bezużyteczne i głupie.

– Jeszcze jednego? – zapytała młoda kobieta, a Egger kiwnął głową. Wzięła nowy kieliszek, a gdy się pochyliła, by postawić go na stole, musnęła ramię Eggera fałdką bluzki. Muśnięcie było niemal niewyczuwalne, a jednak zostawiło po sobie subtelny ból, który z każdą sekundą zdawał się coraz głębiej wnikać mu w ciało. Spojrzał na nią, a ona się uśmiechnęła.

Andreas Egger przez całe życie wracał myślami do tej chwili, do tego ulotnego uśmiechu tamtego popołudnia przy cicho trzaskającym piecu gospody.

\*

Kiedy później wyszedł na dwór, właśnie przestało padać. Było zimno, a powietrze przejrzyste. Strzępy mgły pięły się po górach, których szczyty błyszcząły już w słońcu. Egger zostawił za sobą wioskę i brnął przez gęsty śnieg z powrotem do domu. Nad potokiem, parę metrów poniżej starej drewnianej kładki, dokazywały dzieciaki. Rzuciły w śnieg tomistry i rozbiegły się po całym korycie potoku. Kilgoro zjeżdżało na siedzeniach w dół zamrożonego strumienia, inne zaś pełzały na czworakach po lodzie, nasłuchując dobiegającego spod niego cichego bulgotu. Gdy zobaczyły Eggera, zbiegły się wszystkie i zaczęły wrzeszczeć: „Kuternoga! Kuternoga!”. Głosy ich rozbrzmiewały jasno i czysto w szklanym powietrzu, jak okrzyki młodych orłów przednich, krążących na wysokościach nad doliną i porywających kozice, które runęły w przepaść, i kozy z pastwiska. „Kuternoga! Kulawiec!” Egger odstawił nosidła, odłamał

z lodu zwisającego nad brzegiem strumienia bryłę wielkości pięści, zamachnął się szeroko i cisnął w stronę dzieci. Celował o wiele za wysoko i kawał lodu przeleciał daleko ponad ich głowami. W szczytowym punkcie lotu wyglądał przez moment tak, jakby po prostu zawisł w górze – małeńkie, rozbłyskujące w słońcu ciało niebieskie. Po czym runęło na ziemię i znikło bezgłośnie w cieniu tonących w śniegu jodeł.



**T**rzy miesiące później Egger siedział na pniaku dokładnie w tym samym miejscu i przyglądał się, jak wlot do doliny przesłoniła żółtawa chmura pyłu, z której wnet wyłoniła się złożona z dwustu sześćdziesięciu robotników, dwunastu techników, czterech inżynierów, siedmiu włoskich kucharek oraz niewielkiej liczby bliżej nieokreślonych pomocników ekipa budowlana firmy Bittermann i Synowie i zbliżała się ku wiosce. Z daleka cała gromada wyglądała jak ogromne stado bydła, tylko mrużąc oczy, dało się rozpoznać tu i ówdzie wyciągnięte wysoko ramię czy kilof spoczywający na barkach. Ekipa stanowiła jedynie straż przednią kolumny ciężkich, wyładowanych maszynami, narzędziami, stalowymi dźwigarami, cementem i innymi materiałami budowlanymi furmanek i samochodów ciężarowych, która w powolnym tempie poruszała się po nieutwardzonej drodze. Pierwszy raz w dolinie rozbrzmiewał głuchy terkot silników Diesla. Miejscowi stali w milczeniu na skraju drogi, póki stary stajenny Joseph Malitzer nie zerwał nagle filcowego kapelusza z głowy i z entuzjastycznym okrzykiem nie rzucił go wysoko w powietrze. Wtedy pozostali również zaczęli wznosić radosne okrzyki, wiwatować i wrzeszczeć. Od tygodni czekano na przyjście wiosny oraz przybycie wraz z nią ekipy budowlanej. Miała zbudować kolej linową. Napędzaną stałym prądem elektrycznym napowietrzną kolej linową, której błękitnymi, drewnianymi wagonikami ludzie będą wjeżdżać na górę i napawać się panoramą całej doliny. To było potężne przedsięwzięcie. Na długości prawie dwóch tysięcy metrów niebo miały przeciąć stalowe liny, grube na dwadzieścia pięć milimetrów i splecione ze sobą niczym żmije zygzakowate podczas godów. Trzeba było pokonać różnicę wzniesień tysiąca trzystu metrów, trzeba było przerzucić mosty nad wąwozami i wysadzić w powietrze skalne nawisy. Wraz z koleją do doliny miała przybyć elektryczność. Elektryczny prąd miał popłynąć brzęczącymi

przewodami, a drogi i domy, i budynki gospodarcze miały również nocą jaśnieć w ciepłym świetle. O tym właśnie i o wielu jeszcze innych rzeczach myśleli ludzie, gdy rzucali w powietrze kapelusze, a ich radosne okrzyki przeszywały czyste powietrze. Egger chętnie dzieliłby z nimi tę radość, ale z jakiegoś powodu siedział dalej na swoim pniaku. Czuł się przygnębiony, choć nie wiedział dlaczego. Być może miało to coś wspólnego z terkotem silników, z hałasem, jaki raptem wypełnił dolinę i nikt nie wiedział, kiedy zniknie. Ani czy w ogóle zniknie kiedykolwiek. Egger siedział tak jeszcze przez chwilę, ale wreszcie nie wytrzymał. Poderwał się z miejsca, popędził na dół, dołączył do innych ludzi na skraju drogi i krzyczał, i wiwatował z całej siły.

\*

Jako dziecko Andreas Egger nigdy nie krzyczał i nie wiwatował. Aż do czasu pójścia do szkoły nawet porządnie nie mówił. Z trudem uzbierał garść słów, które w rzadkich momentach recytował w dowolnej kolejności. Mówienie oznaczało skupienie na sobie uwagi, a to z kolei nie wróżyło niczego dobrego. Gdy latem tysiąc dziewięćset drugiego roku ktoś zdjął go, małego chłopca, z furmanki, którą przywieziony został z dalekiego miasta po tamtej stronie gór, stał po prostu niemo i wpatrywał się wielkimi oczami w połyskujące bielą górskie szczyty. Mógł mieć wtedy ze cztery lata, a może był trochę młodszy lub trochę starszy. Nikt tego dokładnie nie wiedział i nikogo to nie interesowało. W ogóle zaś nie zaprzętało to uwagi Huberta Kranzstockera, bogatego bauera, który z niechęcią odebrał małego Eggera i wetknął woźnicy dwa grosze nędznego napiwku i twardą piętkę chleba. Malec był jedynym dzieckiem jednej z jego bratowych, która prowadziła niefrasobliwe życie i za to dobry Bóg pokarał ją nie tak dawno suchotami i wezwał do siebie. Tak czy owak chłopiec na szyi miał skórzany woreczek z paroma banknotami. To był dla Kranzstockera wystarczający argument, żeby z miejsca nie posłać dzieciaka do diabła albo nie

posadzić proboszczowi pod drzwiami kościoła, co jego zdaniem wychodziło mniej więcej na to samo. W każdym razie Egger stał oto tutaj i dziwował się górom. Tylko ten obraz zapamiętał ze swego wczesnego dzieciństwa, zachował go na całe życie. Wspomnienia z czasów przed nim, jak również z czasów po nim nie istniały, pierwsze lata spędzone w gospodarstwie Kranzstockera rozwiały się gdzieś we mgle przeszłości.

W kolejnym wspomnieniu widział siebie jako mniej więcej ośmiolatka, gdy wisiał, nagi i chudziutki, przewieszony przez dyszel wolego sprzężaju. Nogi i głowa dyndały mu tuż nad ziemią, śmierdzącą końskimi szczynami, a jego mały, biały tyłek wypinał się w zimowe powietrze i odbierał od Kranzstockera chłostę leszczynową różgą. Bauer jak zwykle wymoczył różgę w wodzie, by nabrała giętkości. Teraz z raptownym, wysokim świstem cięła powietrze, lądując niby z westchnieniem na siedzeniu Eggera. Egger nigdy nie krzyczał, co wzmagało tylko siłę razów gospodarza. Mężczyzna został ukształtowany i zahartowany Bożą ręką, by ziemię i wszystko, co się na niej porusza, czynił sobie poddanym. Mężczyzna czyni wolę Bożą i głosi słowo Boże. Mężczyzna stwarza życie siłą swych łędźwi i odbiera życie siłą swych rąk. Mężczyzna jest ciałem i jest ziemią, i jest bauerem, i nazywa się Hubert Kranzstocker. Gdy mu się tak spodoba, przekopuje swe pole, zarzuca dorodną świnię na ramiona, powołuje dziecko na świat lub przewiesza inne przez dyszel sprzężaju, bo on jest mężczyzną i słowem, i czynem.

– Przebacz mi, Panie – mówił Kranzstocker i chlastał różgą. – Przebacz mi, Panie.

Powodów do bicia było dosyć: rozlane mleko, spleśniały chleb, zgubiona krowa czy wyjąkany wieczorny pacierz. Pewnego razu czy to bauer wyciął różgę zbyt grubą, czy zapomniał ją namoczyć, czy też może uderzył z większą furią niż zwykle, trudno tak dokładnie powiedzieć, w każdym razie zaczął lać i w którymś momencie coś głośno trzasnęło w małym ciałku, a chłopczyk znieruchomiał.

„Przebacz mi, Panie”, powiedział Kranzstocker i zaskoczony opuścił różgę. Małego Eggera zanieiono do domu, położono na słomie, a bauerka przywróciła go do życia kubłem wody i kubkiem ciepłego mleka. W prawej nodze coś się poprzestawiało, ale że pobyt w szpitalu byłby za drogi, zawołano z sąsiedniej miejscowości nastawiacza kości Aloisa Klammerera. Alois Klammerer był miłym człowiekiem o niezwykle drobnych, bladoróżowych dłoniach, których siła i zręczność były wszakże legendarne nawet wśród drwali i czeladników kowalskich. Przed laty zawezwano go do gospodarstwa bogatego Hirza, gdzie pijany jak bela syn bauera, chłopisko niedźwiedziej postury, wpadł przez dach do kurnika, od wielu godzin tarzał się z bólu w kurzym łajnie, wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki i energicznie bronił widłami przed każdym, kto chciał się do niego zbliżyć. Alois Klammerer podszedł do niego z beztroskim uśmiechem, zręcznie unikając dźgnięć widłami, wetknął chłopakowi precyzyjnie dwa palce w nozdrza i zmusił go jednym prostym ruchem do ukłęknięcia, by najpierw doprowadzić mu do porządku zakuty łeb, a zaraz potem wywichnięte kości.

Nastawiacz kości Alois Klammerer zestawiał także na nowo złamaną kość udową małego Eggera. Na koniec włożył nogę w cienkie łubki, posmarował ziołową maścią i obwinął grubym bandażem. Następných sześć tygodni Egger musiał spędzić na sienniku w izdebce na poddaszu i załatwiać swe potrzeby na leżąco do starego, płaskiego naczynia do zbierania śmietany. Jeszcze wiele lat później, gdy już od dawna był dorosłym mężczyzną, na tyle silnym, by znieść z gór na plecach umierającego pasterza kóz, Andreas Egger wracał myślami do nocy na poddaszu, które cuchnęło zielskiem, szcurzymi bobkami i jego własnymi wydzielinami. Czuł przenikające przez deski podłogowe ciepło znajdującej się poniżej izby. Słyszał dzieci bauera, które cicho postękiwały we śnie, tubalne chrapanie Kranzstockera i nieodgadnione dźwięki wydawane przez śpiącą bauerkę. Ze stajni dobiegały odgłosy zwierząt, ich szelesty, oddechy,

mlaski i sapnięcia. Czasami, gdy nie mógł zasnąć w jasne noce, a w niewielkim świetliku pojawiał się księżyc, starał się na siedząco wyciągnąć jak najbardziej w górę, by być bliżej niego. Księżycowy blask był przyjazny i miękki, a oświetlone nim palce u nóg wyglądały jak małe, okrągłe kawałki sera.

Gdy wreszcie po sześciu tygodniach zawołano znowu nastawiacza kości, by zdjął bandaż, noga była cienka jak kurza kostka. Sterczała też krzywo z biodra i w ogóle wyglądało na to, że zrobiła się trochę koślawa i wykręcona.

– Z czasem się naprostuje, jak wszystko w życiu – powiedział Klammerer, umywając ręce w miednicy ze świeżo udojonym mlekiem. Mały Egger zdławił ból, wstał z łóżka, wywlókł się z domu i powlókł kawałek dalej, na duży wybieg dla kur, na którym kwitły już pierwiosnki i starce. Ściągnął z siebie koszulę nocną i padł na wznak na trawę, rozkładając szeroko ramiona. Słońce świeciło mu w twarz i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, pomyślał o matce, której obraz dawno się zatarł w jego pamięci. Jaka też ona była? Gdy tak leżała już u samego kresu? Małeńka, chudziutka i blada? Z samotną, drżącą plamką słońca na czole?

Egger wrócił do sił. Jednak noga pozostała krzywa i od tej pory musiał iść przez życie kulawym krokiem. Zdawało się, że jego prawa noga zawsze potrzebuje chwili dłużej niż reszta ciała, jakby przed każdym krokiem musiała się najpierw zastanowić, czy taki wysiłek w ogóle wart jest podjęcia.

Wspomnienia Andreasa Eggera z późniejszych lat dzieciństwa były poszarpane i szczątkowe. Kiedyś zobaczył, jak góra dygoce w posadach. Zdawało się, że zacienioną stroną góry szarpnął wstrząs i z głuchym stęknieniem całe zbocze zaczęło się osuwać. Zwały ziemi porwały ze sobą leśną kapliczkę i kilka stogów siana i zawały chwiejne mury porzuconego już przed laty gospodarstwa Kernsteinera. Ciele, oddzielone od stada z powodu wrzodów na tylnej nodze, wyleciało wysoko w powietrze razem z wiśnią, do której było przywiązane, i przez chwilę wybałuszało oczy na dolinę, zanim nie przetoczyła się po nim i nie pochłonęła go fala skalnych odłamków. Egger pamiętał, jak

ludzie stali z rozdziawionymi gębami przed swoimi domami i przyglądali się katastrofie po drugiej stronie doliny. Dzieci trzymały się za ręce, mężczyźni milczeli, kobiety łkały, a nad wszystkim unosiło się mamrotanie starych ludzi odmawiających pacierze. Kilka dni później znaleziono ciało paręset metrów poniżej miejsca zdarzenia, gdzie – cały czas przywiązane do wiśni – leżało w zakolu potoku, a woda omywała jego wzdęty brzuch i sztywne, sterczące ku niebu nogi.

Egger dzielił z dziećmi bauera wielkie łóżce w izbie sypialnej, co bynajmniej nie oznaczało, że był jednym z nich. Podczas całego pobytu w gospodarstwie pozostał tym obcym, tym, którego ledwie cierpiano, bękartem pokaranej przez Boga szwagierki, który bauerską łaskę zawdzięczał li tylko zawartości skórzanego woreczka na szyi. W gruncie rzeczy nie był traktowany jak dziecko. Był stworzeniem, które miało pracować, modlić się i wypinać tyłek pod leszczynową różgę. Tylko stara matka bauera, zwana babulą, miała dla niego czasem ciepłe spojrzenie lub dobre słowo. Niekiedy kładła mu rękę na głowie i mruzczała krótką zdrowaśkę. Gdy Egger dowiedział się o jej nagłej śmierci – przy pieczeniu chleba straciła przytomność, upadła przed siebie i udusiła się z twarzą w cieście – rzucił kosę, wspiął się bez słowa na Orlą Basztę i wyszukał sobie cienistą kryjówkę, żeby się wypłakać.

Trzy dni babula leżała na marach w niewielkiej komorze między domem a budynkami gospodarczymi. W pomieszczeniu było ciemno choć oko wykol, okna były pozasłaniane, a ściany zawieszono czarnymi sukniami. Ręce babula miała złożone na drewnianym różańcu, jej twarz oświetlały dwie migocące świece. W całym domu szybko rozprzestrzenił się zapach rozkładu, na zewnątrz prażyło lato, a upał wciskał się wszystkimi szczelinami do izby śmiertelnej. Gdy wreszcie zajechał wóz pogrzebowy zaprzężony w dwa olbrzymie haflingery, rodzina bauera zebrała się przy zwłokach po raz ostatni, by się pożegnać. Kranzstocker pokropił je wodą święconą i wykrztusił z siebie parę słów.

– Babula teraz odeszła – powiedział. – Dokąd, nie nam wiedzieć, ale sprawiedliwie rzecz urządzono. Tam gdzie stare obumiera, tam nowe przychodzi. Tak to jest i tak będzie na wieki wieków, amen!

Położono babulę na wóz, a kondukt żałobny, w którym szła jak zwykle cała wiejska gromada, z wolna ruszył z miejsca. Gdy przechodzili obok kuźni, usmolone drzwi nagle się otwały i wystrzelił z nich pies kowala. Sierść miał smoliście czarną, a między nogami lśniło mu nabrzmiałe, jasnoczerwone przyrodzenie. Z ochrypłym szczeniem rzucił się w kierunku wozu. Woźnica przeciągnął go batem po grzbiecie, jednak pies zdawał się nie czuć bólu. Dосkoczył do jednego z koni i wgrzył mu się w tylną kończynę. Haflinger stanął dęba i wierzgnął. Potężne kopyto trafiło psa w głowę, rozległ się trzask, pies zaskowytał i padł jak długi na ziemię. Zraniony koń się zataczał i wyglądało na to, że zaraz wciągnie wóz do rowu odprowadzającego wody roztopowe. Woźnicy, który zeskoczył z kozła i chwycił za cugle, udało się utrzymać zaprzęg na drodze, jednakże z tyłu trumna zaczęła się ślizgać i stanęła bokiem. Wieko, które tylko prowizorycznie zamknięto na czas transportu i dopiero przy grobie zamierzano ostatecznie zabić gwoździami, odskoczyło, a w szczelinie pokazało się przedramię zmarłej. W ciemnościach śmiertelnej izby jej ręka była śnieżnobiała, lecz tutaj, w jasnym świetle dnia, jawiła się żółta jak płatki maleńkich fiołków\*, które kwitły w cieniu nad potokiem i więdły, gdy tylko znalazły się na słońcu. Koń stanął dęba po raz ostatni i zatrzymał się, robiąc bokami. Egger widział dyndającą z trumny rękę martwej babuli i przez krótką chwilę zdawało się, że chciała pomachać do niego na pożegnanie, ostatnia zdrowaśka, tylko dla niego przeznaczona. Wieko zamknięto, trumnę ustawiono na miejscu i kondukt mógł ruszyć w dalszą drogę. Pies pozostał na drodze, gdzie leżał na boku wstrząsany konwulsjami, kręcąc się wokół własnej osi i gryząc na ślepo. Jeszcze długą chwilę słychać było kłapanie jego szczęk, póki kowal nie zatłukł go długim klepadłem do kos.

\*

W tysiąc dziewięćset dziesiątym roku we wsi postawiono szkołę i mały Egger każdego ranka po porannym obrzędzie siadywał teraz wraz z innymi dziećmi w śmierdzącej świeżym dziegiem klasie, by uczyć się czytania, pisania i rachunków. Uczył się powoli, jakby zmagał się z ukrytym, wewnętrznym oporem, ale z czasem z chaosu kropek i kresek na szkolnej tablicy zaczął się wyłaniać pewien sens, aż wreszcie Egger był w stanie czytać książki bez obrazków, co obudziło w nim pewne przeczucia, ale i lęki wobec światów po tamtej stronie doliny.

Po śmierci obojga najmłodszych dzieci Kranzstockera, które w długą zimową noc zabrał dyfteryt, praca w gospodarstwie stała się jeszcze uciążliwsza, bo było do niej mniej rąk. Z drugiej strony Egger miał teraz więcej miejsca w łóżku i nie musiał bić się z pozostałym przyrodnim rodzeństwem o każdą skórkę chleba. Tak czy owak nie dochodziło już w zasadzie między nim a innymi dziećmi do fizycznych porachunków, po prostu z tej przyczyny, że Egger stał się zbyt silny. Tak jakby natura po historii ze strzaskaną nogą próbowała mu to jakoś wynagrodzić. W wieku trzynastu lat miał muskuły młodego mężczyzny, a w wieku lat czternastu po raz pierwszy wrzucił sześćdziesięciokilowy worek przez właz na strych, gdzie przechowywano zboże. Był silny, lecz powolny. Myślał powoli, mówił powoli i chodził powoli, jednak każda myśl, każde słowo i każdy krok pozostawiały ślady i to dokładnie tam, gdzie takie ślady jego zdaniem winny były pozostać.

Następnego dnia po osiemnastych urodzinach Eggera (jako że nie udało się uzyskać żadnych bliższych informacji co do daty jego narodzin, burmistrz wybrał po prostu pierwszy lepszy letni dzień, a mianowicie piętnasty sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, i wystawił odpowiedni dokument) zdarzyło się, że podczas kolacji gliniana misa z zupą mleczną wysliznęła mu się z rąk i rozbiła z głuchym trzaskiem. Zupa z nakruszonym do



niej właśnie chlebem rozlała się po deskach podłogi, a Kranzstocker, który już złożył ręce do modlitwy przed jedzeniem, powoli się podniósł.

– Weź leszczynową różgę i włóż do wody! – powiedział. – Spotkamy się za pół godziny! – Egger zdjął różgę z haka, włożył na dworze do poidła dla bydła, usiadł na dyszlu wolego sprzężaju i machał nogami. Po upływie pół godziny pojawił się bauer. – Dawaj tu wicinę! – powiedział.

Egger zeskoczył z dyszla i wyjął różgę z koryta. Kranzstocker świsnął nią przez powietrze. Wygięła się sprężyście w jego rękę, ciągnąc za sobą welon delikatnie połyskujących kropel wody.

– Spuszczaj portki! – rozkazał bauer. Egger skrzyżował ręce na piersi i potrząsnął głową. – Patrzcie no, bękart będzie się stawiał gospodarzowi – rzekł Kranzstocker.

– Zostaw mnie w spokoju, więcej nie chcę – powiedział Egger. Bauer wysunął szczękę do przodu. Do szczeciny zarostu kleiły mu się zaschnięte resztki mleka. Na szyi pulsowała mu długa, poskręcana żyła. Postąpił krok do przodu i podniósł rękę.

– Jeśli mnie uderzysz, zabiję cię! – powiedział Egger, a bauer znieruchomiał w pół kroku.

Gdy w późniejszym czasie Egger wracał myślami do tej chwili, wydawało mu się, że stali tak naprzeciw siebie przez cały wieczór: on z rękoma skrzyżowanymi na piersi, bauer z leszczynową różgą we wzniesionej pięści, obaj milczący i z zimną nienawiścią w oczach. W rzeczywistości trwało to najwyżej parę sekund. Po różdze z wolna spłynęła kropla wody, zadrżała, odrywając się, i spadła na ziemię. Z obory dobiegało stłumione pomlaskiwanie krów. W domu roześmiało się jakieś dziecko, a potem w obejściu znów zapadła cisza.

Kranzstocker opuścił rękę.

– Zabieraj się stąd – rzekł bezdźwięcznym głosem i Egger odszedł.

---

\* Chodzi o fiołka dwukwiatowego, kwitnącą na cytrynowo roślinkę, występującą również w polskich górach (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

**A**ndreas Egger uchodził wprawdzie za kalekę, ale był silny. Umiął ciężko pracować, żądał niewiele, ledwie się odzywał i z równą cierpliwością znosił letni skwar na polach, co dojmujące zimno w lesie. Brał każdą robotę i wykonywał ją rzetelnie i bez szemrania. Umiął obchodzić się z kosą i z widłami. Przewracał świeżo skoszoną trawę, ładował wozy gnojem i dźwigał kamienie i snopki słomy z pól. Pełzał po roli jak chrabąszcz i piał się między skałami w ślad za zbłąkanym bydłem. Wiedział, z której strony uderzyć w takie czy inne drewno, jak przyłożyć klin, oszlifować piłę i naostrzyć siekierę. Do gospody chodził rzadko i nigdy nie pozwalał sobie na więcej niż posiłek i kufel piwa do tego albo kieliszek ziołowej wódki. Mało którą noc spędzał w łóżku, zazwyczaj spał na sianie, na strychach, w szopach i oborach koło bydła. Czasami, w ciepłe letnie noce, rozkładał gdzieś na świeżo zżętej łące derkę, kładł się na plecach i spoglądał w rozgwieżdżone niebo. Potem myślał o swojej przyszłości, która rozpościerała się przed nim tak nieskończenie rozległa, bo niczego po niej nie oczekiwał. A czasem, gdy leżał już tak wystarczająco długo, doznawał uczucia, że ziemia pod jego plecami leciusieńko się wznosi i opada, i w takich chwilach wiedział, że góry oddychają.

W wieku dwudziestu dziewięciu lat Egger zebrał dość pieniędzy, by wydzierzawić niewielki kawałek ziemi razem z szopą na siano. Spłachetek ten leżał tuż przed górną granicą lasu, jakieś pięćset metrów w linii prostej ponad wsią, z dostępem wyłącznie wąską ścieżyną prowadzącą na Pasterski Szczyt. Był praktycznie bezwartościowy, stromy i jałowy, usiany niezliczonymi głazami i niewiele większy niż kurzy wybieg za gospodarstwem Kranzstockera. Jednak tuż obok tryskało ze skały maleńkie źródło z czystą, lodowatą wodą, rankami zaś słońce stało nad granią o całe pół godziny wcześniej niż we wsi i rozgrzewało ziemię pod zeszywniałymi po nocy stopami Eggera. Ściał kilka drzew

w pobliskim lesie, obrobił je na miejscu i przyciągnął belki do swojej szopy, by podeprzeć pochylone wiatrem ściany. Wykopał dół na fundament i nappełnił go kamieniami ze swojej ziemi, których niemal nie ubyło i które noc w noc zdawały się na nowo wyrastać z wyschniętego na pył podłoża. Zbierał te kamienie, a ponieważ nuda go przy tym ogarniała, nadawał im imiona. A gdy skończyły mu się imiona, dawał im słowa. A gdy w którymś momencie uświadomił sobie, że na jego ziemi było więcej kamieni, niż znał słów, zaczął po prostu od początku. Nie potrzebował pługą ani bydła. Jego włości były za małe na własne gospodarstwo, ale dostatecznie duże na maleńki warzywnik. Na sam koniec opasał swe nowe domostwo niskim płotkiem i zrobił furtkę, wyłącznie po to, by móc ją kiedyś otworzyć przed gościem, który być może zajrzy do niego.

W sumie był to dobry czas, Egger był zadowolony i jak by kto pytał, to mogłoby już tak zostać na zawsze. Jednak wtedy wydarzyła się historia z Rogatym Jaśkiem. I chociaż wedle Eggerowego rozumienia winy i sprawiedliwości nie mógł nic poradzić na to, że pasterz kóz zniknął, to jednak nikomu nie opowiedział o wydarzeniach w gęstej zamieci. Uważano, że Rogaty Jasiak nie żyje, a Egger nie wątpił w to ani przez chwilę, mimo że nigdy nie znaleziono zwłok. Nie mógł wszakże zapomnieć widoku wychudłej postaci, która na jego oczach z wolna rozpułnęła się we mgle.

Ale jeszcze coś nieusuwalnie tkwiło od tamtego dnia we wnętrzu Eggera: ból, który po muśnięciu fałdką materiału wnikał w jego przedramię, jego ramię, jego pierś, i wreszcie usadowił się gdzieś na wysokości serca. Ból był bardzo subtelny, a jednak dotkliwszy niż wszelkie inne bóle, jakie Egger poznał w swym dotychczasowym życiu, wliczając w to razy Kranzstockera leszczynową różgą.

Nazywała się Marie, a Egger uznał, że to najpiękniejsze imię na świecie. Zjawiała się w dolinie przed czterema miesiącami, w poszukiwaniu pracy, w schodzonych butach i z przykurzonymi włosami. Tak się dobrze złożyło, że karczmarz akurat parę dni wcześniej posłał do diabła swoją dziewczkę służebną

z powodu nieprzewidzianej ciąży.

– Pokaż ręce! – rzekł do Marie. Kiwając z zadowoleniem głową, obejrzał odciski na jej palcach i zaproponował objęcie wolnego miejsca. Od razu zaczęła obsługiwać gości i słać łóżka w tych kilku pokojach, które przyszykowano dla robotników sezonowych. Opiekowała się kurami, pomagała w ogrodzie, w kuchni, przy szlachtowaniu i przy opróżnianiu klozetu dla gości. Nigdy się nie skarżyła i nie była ani próżna, ani wydelikaccona.

– Ręce przy sobie! – wykrzyknął karczmarz i dźgnął Eggera w pierś lśniącem od świeżo wytopionego wieprzowego smalcu palcem wskazującym. – Marie to dziewczyna do roboty, a nie do miłości, rozumiano?

– Zrozumiano – odrzekł Egger i znowu poczuł subtelny ból w okolicy serca. Przed Bogiem nie skłamiesz, pomyślał, przed karczmarzem i owszem.

Wypatrywał jej w niedzielę po kościele. Miała białą sukienkę, a na głowie biały kapelusik. Mimo że kapelusik wyglądał naprawdę ładnie, Egger uznał, że chyba jest troszeczkę za mały. Przywodził na myśl kłacza, które gdzieniegdzie wystawały ciemne z leśnej gleby i na których niekiedy jakby za sprawą cudu kwitła pojedyncza, biała lilia. A może zresztą kapelusik był w sam raz, Egger nie wiedział. Nie miał pojęcia o takich rzeczach. Jego doświadczenia z kobietami ograniczały się do nabożeństw, podczas których siedział w najdalszym rzędzie w kaplicy, słuchał dźwięcznego śpiewu i niemal tracił zmysły od niedzielnej woni umytych mydłem i natartych wodą lawendową włosów.

– Chciałbym... – powiedział chrapliwie i przerwał w połowie zdania, bo nagle wyleciało mu z głowy, co właściwie zamierzał powiedzieć. Przez chwilę stali w cieniu kaplicy i milczeli. Marie wyglądała na zmęczoną. Zdawało się, że półmrok kościelnego wnętrza wciąż sięga jej twarzy. Do lewej brwi przyczepił się jej maleńki, żółty pyłek kwiatowy i drżał w lekkim powiewie wiatru. Naraz uśmiechnęła się do niego.

– Tak nagle zrobiło się zimno – powiedziała. – Może moglibyśmy przejść się

trochę po słońcu.

Ruszyli obok siebie leśną drogą, która za kaplicą wiła się w górę na Żywiczną Kopę. Wśród traw szemrał strumyczek, a nad nimi szumiały korony drzew. W zaroślach wszędzie było słycać świergot rudzików, jednak gdy podeszli do nich zbyt blisko, zapadła cisza. Zatrzymali się na polanie. Wysoko nad ich głowami zawisł w bezruchu sokół. Wtem uderzył skrzydłami i runął bokiem ku ziemi. Zdawał się wprost spadać z nieba i znikł im z pola widzenia. Marie zerwała parę kwiatów, a Egger cisnął w zarośla kamień wielkości głowy, ot, tak sobie, bo miał ochotę i siłę po temu. Gdy w drodze powrotnej przechodzili przez zmurszałą kładkę, Marie chwyciła go za ramię. Rękę miała szorstką i ciepłą niby ogrzany przez słońce kawałek drewna. Egger chętnie przytuliłby ją do policzka i po prostu tak stał. Zamiast tego zrobił wielki krok i prędko ruszył dalej.

– Tylko uważaj – powiedział, nie oglądając się za siebie. – Łatwo tu sobie nogę skrócić!

Spotykali się w każdą niedzielę, później także czasem w ciągu tygodnia. Jako małe dziecko zleciała z chybotliwego ogrodzenia kojca dla świń i została ugryziona przez wystraszoną maciorę, i od tamtej pory miała na karku ukośną, około dwudziestocentymetrową, lśniącą czerwienią bliznę w kształcie półksiężyca. Eggerowi to nie przeszkadzało. Blizny są jak lata, uważał, nawarstwiają się na sobie i dopiero wszystkie razem tworzą człowieka. Z kolei Marie nie przeszkadzała jego krzywa noga. Przynajmniej nic nie mówiła. Nigdy, ani jednym słowem, nie wspomniała o tym, że kuleje. W ogóle mało rozmawiali. Szli koło siebie i obserwowali własne cienie przed sobą albo siadali gdzieś na kamieniu i patrzyli na dolinę.

Pewnego popołudnia pod koniec sierpnia zaprowadził ją na swoją ziemię. Pochylił się, otworzył furtkę i przepuścił ją przodem. „Chatę trzeba będzie jeszcze pomalować – mówił – bo zanim się człowiek obejrzy, wiatr i wilgoć zrujnują

drewno, a wtedy można zapomnieć o wygodzie”. A tam dalej posadził trochę warzyw, seler na przykład praktycznie już go przerasta. Słońce bowiem świeci tu na górze o wiele jaśniej niż tam niżej, w dolinie. Nie tylko roślinom dobrze to robi, człowiekowi również rozgrzewa kości i ducha. „I naturalnie nie można zapominać o widoku – ciągnął Egger, zataczając ramieniem szeroki łuk. – Roztacza się stąd na całą okolicę, a przy pięknej pogodzie nawet nieco dalej”. W środku też chce pomalować chatę, wyjaśnił jej, farbą murarską. Rzecz jasna farbę trzeba będzie rozrobić nie z wodą, lecz ze świeżym mlekiem, z uwagi na trwałość. A kuchnię też chyba trzeba będzie jeszcze porządnie urządzić, no ale najpotrzebniejsze rzeczy są już na miejscu, garnki, talerze, sztucce i tak dalej, a przy sposobności wyszoruje jeszcze patelnie. Obory zresztą nie będzie potrzebował, bo na bydło nie ma miejsca ani czasu, w końcu nie chce być bauerem. Bycie bauerem oznacza bowiem pełzanie przez całe życie po swojej skibie i rycie w ziemi ze spuszczonego wzrokiem. Mężczyzna wedle jego gustu musi zaś podnieść głowę i spojrzeć jak najdalej ponad własny, ciasno wytyczony splachetek ziemi.

W późniejszym życiu Egger nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek tyle mówił, co wówczas, podczas pierwszej wizyty Marie na jego włościach. Słowa wyskakiwały z niego, koziołkując, a on zdumiony przysłuchiwał się, jak najwyraźniej same z siebie składały się w szereg i razem zyskiwały sens, który jemu samemu stawał przed oczami z zadziwiającą wyrazistością dopiero wtedy, gdy je wypowiedział.

Gdy wąską, wijącą się zakosami ścieżyną zeszli do doliny, Egger znowu milczał. Czuł się dziwnie i trochę się wstydził, nie wiedząc czemu. Na zakręcie odpoczęli. Usiedli na trawie i oparli się plecami o pień zwałonego buka. Drewno zgromadziło w sobie ciepło ostatnich letnich dni, a w powietrzu pachniało suchym mchem i żywicą. Wokół nich górskie szczyty wznosiły się w przejrzyste niebo. Marie stwierdziła, że wyglądają, jakby były z porcelany, a Egger przyznał

jej ramię, chociaż porcelany w całym swoim życiu nigdy jeszcze nie widział. Idąc, trzeba zachować ostrożność, zauważył, jeden fałszywy krok i na całym krajobrazie pojawi się rysa albo rozprysnie się on na niezliczone, maleńkie odłamki. Marie roześmiała się.

– To zabawne – powiedziała.

– Tak – odparł Egger. Po czym zwiesił głowę i nie wiedział, co dalej. Chętnie podniósłby się z miejsca, chwycił kamień i cisnął gdziekolwiek. Jak najwyżej i jak najdalej. Wtem poczuł jej ramię na swoim ramieniu. Podniósł głowę i rzekł: – Nie wytrzymam już tego dłużej! – Obrócił się ku niej, ujął jej twarz obiema rękoma i pocałował ją.

– Och – odezwała się. – Aleś ty silny!

– Przepraszam! – odparł i przestraszony zabrał rękę.

– Ale i tak było pięknie – powiedziała.

– Mimo że zabolęło?

– Tak – odpowiedziała. – Bardzo pięknie.

Dłońmi objął jej twarz raz jeszcze, ale tym razem tak ostrożnie, jak się bierze do ręki kurze jajko albo świeżo wyklute pisklę.

– Tak jest dobrze – stwierdziła i zamknęła oczy.

\*

Najchętniej jeszcze tego samego dnia, najpóźniej nazajutrz, poprosiłby ją o rękę. Ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Nocami przesiadywał przed domem na własnoręcznie zbitym z desek progu i gapił się na zalaną blaskiem księżycą trawę u swych stóp, a myśli krążyły mu wokół niedostatków, jakie u siebie dostrzegał. Nie był bauerem i nie miał ochoty nim zostać. Nie był jednak również rzemieślnikiem, drwalem ani pasterzem. Szczerze mówiąc, zarabiał na chleb jako wyrobnik, jako najemny parobek na każdy sezon i wszelką okazję.



Taki mężczyzna nadawał się zasadniczo do wszystkiego, tylko nie na męża. Kobiety od swego przyszłego więcej oczekiwały, nawet Egger to wiedział. Gdyby to od niego zależało, przesiedziałyby resztę życia na skraju drogi, trzymając Marie za rękę, wsparty o żywiczny pień drzewa. Ale teraz akurat nie zależało to już tylko od niego. Znał swoje zadania na tym świecie. Chciał chronić Marie i troszczyć się o nią. Powiedział jej, że mężczyzna musi podnieść głowę i spojrzeć jak najdalej ponad własny spłachetek ziemi. I tak właśnie zamierzał postąpić.

Egger odszukał obozowisko firmy Bittermann i Synowie, które tymczasem rozłożyło się na całej łące na zboczu po przeciwnej stronie doliny i liczyło więcej mieszkańców niż sama wioska. Dopytał się o drogę do baraku prokurenta odpowiedzialnego za zatrudnianie nowych robotników i przekroczył z niezwykłą nieśmiałością próg biura, ponieważ lękał się, że jego ciężkie buciory mogą zniszczyć dywan, który rozpościerał się na niemal całej podłodze i tłumił jego kroki, jak gdyby stapał po mchu. Prokurent był zwalistym mężczyzną z pokrytą bliznami łysiną, obramowaną krótko przystrzyżonymi włosami. Siedział za biurkiem z czarnego drewna i mimo ciepła w pomieszczeniu nosił skórzaną kurtkę podbitą owczą wełną. Nisko pochylony nad stertą akt, zdawał się nie zauważać wejścia Eggera. Jednak w tym momencie, w którym Egger chciał jakimś dźwiękiem zwrócić na siebie uwagę, nieoczekiwanie podniósł głowę.

– Kulejesz – powiedział. – Do niczego nam się nie przydasz.

– W całej okolicy nie ma lepszego robotnika ode mnie – odparł Egger. – Jestem silny. Wszystko potrafię. Wszystko zrobię.

– Ale kulejesz.

– Może w dolinie – rzekł Egger. – W górach tylko ja idę prosto.

Prokurent powoli się odchylił. W pomieszczeniu zapanowała cisza, która niczym ciemny welon legła na sercu Eggera. Wpatrywał się nieruchomo w pobieloną wapnem ścianę i przez chwilę nie wiedział, po co w ogóle tu

przyszedeł. Prokurent westchnął. Uniósł rękę i wykonał taki gest, jakby chciał zetrzeć Eggera ze swego pola widzenia. A potem powiedział:

– Witamy u Bittermanna i Synów. Żadnego alkoholu, żadnego kurwienia się, żadnych związków zawodowych. Początek pracy rano o wpół do szóstej!

\*

Egger pomagał przy wyrębie drzew i wznoszeniu potężnych, stalowych dźwigarów, które w pięćdziesięciometrowych odstępach przesywały prostą jak strzała linię prowadzącą coraz wyżej pod górę i z których każdy przewyższał o parę metrów najwyższy budynek we wsi – gminną kaplicę. Wciągał na stoki żelazo, drewno i cement i włókł z powrotem na dół. Kopał w leśnej ziemi doły fundamentowe i wiercił w skałach dziury na grubość ramienia, w które strzałowy wciskał laski dynamitu. Podczas wybuchów kulił się razem z innymi w bezpiecznej odległości na pniach, które leżały po prawej i lewej stronie szeroko wyrąbanej przesieki. Zasłaniali sobie uszy rękoma i czuli pod tyłkami, jak górą wstrząsają detonacje. A że Egger znał okolicę jak mało kto i nie miewał zawrotów głowy, wysyłano go przeważnie przodem i był pierwszy na miejscu wiercenia. Wspinał się po piargach, piął między skałami i wisiał, ubezpieczony tylko cienką liną, przy stromych ścianach, ze wzrokiem skierowanym prosto na obłoczek pyłu spod świdra do kamienia tuż przed swoją twarzą. Egger lubił pracę w skale. Tu na górze powietrze było rześkie i czyste, czasami słyszał krzyk orłów lub widział swój cień prześlizgujący się bezgłośnie po urwisku. Często myślał o Marie. O jej ciepłej, szorstkiej ręce i o jej bliźnie, której łukowaty kształt wciąż od nowa wykreślał w duchu.

\*

Jesienią Eggera ogarnął niepokój. Uznał, że oto ostatecznie nadszedł już czas, by poprosić Marie o rękę, ale ciągle jeszcze nie miał pojęcia, jak się do tego

zabrać. Wieczorami przesiadywał na progu i oddawał się niejasnym wizjom i marzeniom. Oczywiście, myślał sobie w cichości ducha, jego oświadczenia nie mogły być takimi zwykłymi oświadczeniami. Powinny być takie, by poniekąd oddały potęgę jego miłości i na zawsze zapadły Marie w pamięć i w serce. Przemyślał nad jakimś pismem, ale pisał wszak jeszcze rzadziej, niż mówił, czyli w praktyce nigdy. Ponadto w jego opinii taki list nie wyraziłby zbyt wiele. Jak miałyby przelać na jedną kartkę wszystkie swoje myśli i uczucia w całej ich pełni? Najchętniej napisałby o swej miłości na zboczu góry, olbrzymimi literami, widocznymi z daleka dla każdego w dolinie. Zwierzył się ze swego problemu koledze z pracy, Thomasowi Matlowi, z którym na skraju przesieki wrywali z ziemi knąbrne korzenie. Matl był doświadczonym drwalem i jednym z najstarszych pracowników w firmie. Od prawie trzydziestu lat wędrował ze zmieniającymi się ekipami przez górskie regiony, by w imię postępu karczować lasy i sadzić w ziemi żelazne rusztowania lub betonowe filary. Mimo wieku i dolegliwości, które, jak twierdził, wgryzły mu się w kręgosłup niczym sfora wściekłych psów, poruszał się lekko i zwinnie wśród zarośli. Może faktycznie można by coś napisać na górze, uznał Matl i przejechał ręką po brodatej twarzy, tyle że diabelskim atramentem – ogniem. Za młodu przepracował kilka letnich sezonów w północnych regionach jako drwal przy budowie mostów i wtedy uczestniczył w starym obrzędzie Ogni Serca Jezusowego<sup>\*\*</sup>, kiedy to w czas letniego przesilenia płoną ogromne obrazy z ognia i nocami rozświetlają góry. A jeśli ogniem można coś namalować, stwierdził, to można i napisać. Na przykład swego rodzaju oświadczenia dla tej Marie. Trzy, cztery słowa, nie więcej oczywiście, więcej zresztą w ogóle się nie da. „Zechcesz mnie?” albo „Chodź, serduszko” – coś takiego, czego kobiety lubią słuchać.

– No i tak to mogłoby wyglądać – dodał Matl pogrążony w zadumie. Po czym sięgnął ręką za głowę i wyciągnął obsypaną pączkami cieniutką gałązkę, która zaplątała mu się w kołnierzu. Odgryzał po kolei maleńkie białe pączki i ssał

je niby karmelki.

– Tak – kiwnął głową Egger. – Tak to mogłoby wyglądać.

Minęły dwa tygodnie. Późnym popołudniem pierwszej październikowej niedzieli siedemnastu godnych zaufania mężczyzn z ekipy Eggera pięło się po piarżysku nad Orlą Basztą, by w takt wywrzaskiwanych przez Mattla ochrypłym głosem komend rozmieścić co dwa metry wzdłuż linii wyznaczonej konopnymi linami dwieście pięćdziesiąt półtorakilogramowych płóciennych worków, wypchanych trocinami i nasączonych naftą. Egger skrzyknął tych mężczyzn kilka dni wcześniej po fajrancie w namiocie kantyny, by wyjaśnić im swoje plany i namówić do pomocy.

– Dostaniecie siedemdziesiąt groszy i ćwiartkę wódki ziołowej – powiedział i powiódł spojrzeniem po ich brudnych twarzach. W ciągu ostatnich tygodni oszczędzał pieniądze z wypłaty, zbierał monety do małego pudełka po świecach i przechowywał w dołku pod progiem swego domu.

– Chcemy osiemdziesiąt groszy i pół litra! – powiedział czarnowłosy ślusarz maszynowy, który dopiero przed paroma tygodniami dołączył do firmy z Lombardii i dzięki swemu temperamentowi przypominającemu kocioł parowy zdobył sobie szybko pewien autorytet w ekipie.

– Dziewięćdziesiąt bez wódki – odparł Egger.

– Wódka musi być.

– Sześćdziesiąt groszy i pół litra.

– Stoi! – wykrzyknął czarnowłosy i na znak dobicia targu uderzył pięścią w stół.

A teraz Thomas Mattl siedział przez większość czasu na występie skalnym i nadzorował działania mężczyzn. W żadnym wypadku nie można było dopuścić do tego, by worki leżały dalej niż dwa metry od siebie, bo w literach powstałyby dziury.

– Ty bęcwale, miłość nie może przepaść przez dziurawą literę! – wrzasnął

i cisnął kamieniem wielkim jak pięść w stronę młodego budowniczego rusztowań, który zostawiał zbyt duże odstępy.

Punktualnie o zachodzie słońca wszystkie worki leżały na swoich miejscach. Nad górami zapadała noc, a Matzl zsunął się ze swojej skały ku pierwszemu workowi pierwszej litery. Ogarnął wzrokiem stok, na którym mężczyźni równomiernie się rozstawili. Następnie otrzepał sobie kurz ze spodni, wygrzebał z kieszeni pudełko zapalek i podpalił przesyconą naftą szmatę, nawiniętą na sterzący przed nim z ziemi kij. Chwycił pochodnię, machnął nią nad głową i wydał najprzerażliwszy i najgłośniejszy okrzyk radości, jaki udało mu się wydobyć z siebie w całym życiu. Niemal równocześnie na piarżysku buchnęło ogniem szesnaście pochodni, a mężczyźni co sił w nogach popędzili wzdłuż linii, podpalając jeden worek za drugim. Matzl chichotał z cicha. Z poczuciem błogości myślał o czekającej na niego ziołowej wódce, lecz na karku czuł chłodny oddech nocy, która coraz szybciej zapadała nad górami.

W tym właśnie momencie w dolinie Andreas Egger objął ramieniem Marie. Umówili się o zachodzie słońca przy pniaku koło starej kładki i Eggerowi ulżyło, gdy pojawiła się o czasie. Miała na sobie jasną, lnianą sukienkę, a włosy pachniały jej mydłem, sianem i odrobinę, jak uznał Egger, pieczeniową wieprzową. Rozścielił swoją kurtkę na pniaku i dał Marie znak, by usiadła. Chciał jej bowiem coś pokazać, coś, czego być może nigdy nie zapomni.

– Coś ładnego? – zapytała Marie.

– Bardzo możliwe – odparł.

Usiedli obok siebie i przyglądali się w milczeniu, jak słońce znika za górami. Egger słyszał bicie swego serca. Przez chwilę zdawało mu się, że nie bije ono w jego piersi, lecz w pniaku pod nim, jak gdyby zmurszałe drewno zbudziło się do nowego życia. Wtedy usłyszeli z oddali radosny okrzyk Thomasa Mattla, a Egger wskazał ręką w ciemność.

– Patrz – powiedział.

Sekundę później wysoko w górze po przeciwnej stronie doliny rozbłysło szesnaście świateł, które rozbiegły się we wszystkich kierunkach niczym rój robaczków świętojańskich. Po drodze światła zdawały się ronić rozżarzone krople, które po kolei stapały się ze sobą, tworząc fantazyjne linie. Egger czuł ciało Marie przy swoim. Objął ją ramieniem i słuchał, jak dziewczyna cicho oddycha. Po drugiej stronie płonące na stoku linie wyginały się w coraz szersze łuki lub łączyły w zaokrąglone formy. Na samym końcu u góry po lewej stronie rozbłysły dwa punkty i Egger wiedział, że to właśnie stary Mattl wspinał się po piarżysku i podpalił dwa ostatnie worki oblane naftą. Na zboczu wypisano: „DLA CIEBIE, MARIE”, olbrzymimi, migocącymi literami, widocznymi z daleka dla każdego w dolinie. „M” było trochę krzywe, poza tym brakowało mu kawałka, tak że wyglądało, jakby ktoś je rozerwał pośrodku. Najwyraźniej co najmniej dwa worki się nie zapaliły albo też w ogóle ich nie położono. Egger wziął głęboki oddech, po czym obrócił się do Marie, próbując wyłowić jej twarz z ciemności.

- Czy chcesz zostać moją żoną? – zapytał.
- Tak – wyszeptała tak cicho, że nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał.
- Marie, chcesz tego? – powtórzył pytanie.
- Tak, chcę – odparła pewnym głosem, a Egger poczuł, że za chwilę po prostu zleci na plecy z tego pniaka. Ale siedział dalej. Objęli się, a gdy oderwali się od siebie, ognie na górze zagasły.

\*

Noce Eggera nie były już dłużej samotne. W łóżku leżała przy nim jego żona, cicho oddychając, a on czasem przyglądał się jej ciału, które rysowało się pod przykryciem i które, mimo że w kolejnych tygodniach coraz lepiej je poznawał, ciągle wydawało mu się niepojętym cudem. Miał teraz oficjalnie skończone trzydzieści trzy lata i znał swoje obowiązki. Będzie chronił Marie

i troszczył się o nią, tak jej powiedział i tak zamierzał postąpić. I dlatego w pewien poniedziałkowy poranek stał znowu w baraku prokurenta przed jego biurkiem.

– Chciałbym więcej pracy – rzekł, obracając w rękach swą wełnianą czapkę. Prokurent podniósł głowę i spojrzał na niego ponuro.

– Nikt nie chciałby więcej pracy!

– A ja tak. Bo mianowicie będę miał rodzinę.

– No to chciałbyś więcej pieniędzy, a nie więcej pracy.

– Jeśli tak pan to widzi, to pewnie tak właśnie jest.

– Tak, myślę, że tak to właśnie widzę. Ile teraz zarabiasz?

– Sześćdziesiąt groszy za godzinę.

Prokurent odchylił się i spojrzał przez okno, za którym poprzez warstwę kurzu widać było biały szczyt Koguciego Grzbietu. Powoli przejechał ręką po łąsinie. Po czym wydał z siebie stłumione westchnienie i spojrzał Eggerowi w oczy.

– Dostaniesz osiemdziesiąt, ale chciałbym, żebyś każdy jeden grosz odpracował, jakby ci się pod tyłkiem paliło. Zrobisz to? – Egger kiwnął głową, a prokurent znów westchnął. A potem powiedział coś, czego Egger, choć nie pojął tego w tamtej chwili, przez resztę życia nie zapomniał. – Od człowieka można kupić godziny, można mu ukraść dni albo zrabować całe życie. Ale nikt nie może odebrać człowiekowi choćby jednej jedynej chwili. Tak to jest, a teraz zostaw mnie w spokoju!

---

\*\* Mowa tu o autentycznym obyczaju, znanym w Tyrolu pod tą nazwą od XVIII w., a wywodzącym się zapewne jeszcze z pogańskich świąt.

**E**kipy firmy Bittermann i Synowie zdążyły tymczasem posunąć się z robotami daleko ponad górną granicę lasu, zostawiając za sobą niemal półtorakilometrową, w niektórych miejscach szeroką na trzydzieści metrów bliznę w lesie. Do planowanej końcowej stacji kolejki tuż pod szczytem Karleitnera było już tylko czterysta metrów, ale teren był stromy i nieprzystępny, ostatni odcinek zaś miał przeciąć niemal pionową ścianę, zwieńczoną nawisem skalnym, który ze względu na swój kształt zwany był przez miejscowych Czaszką Olbrzyma. Przez wiele dni Egger wisiał dokładnie pod brodą Czaszki Olbrzyma i wiercił otwory w granicie, i wkręcał w nie śruby mocujące długości przedramienia, które miały udźwignąć długą metalową drabinę dla konserwatorów. Z tajoną dumą myślał o mężczyznach, którzy kiedyś będą się wspinać po tej drabinie, nie przeczuwając, że życie zawdzięczają wyłącznie jemu i jego zręczności. W czasie krótkich przerw na odpoczynek przysiadł na występie skalnym i spoglądał na dolinę. Od kilku tygodni wysypywano starą drogę szutrem i wylewano smołą, on zaś dostrzegał w kłębach pary sylwetki mężczyzn, którzy, z tej odległości na pozór bezgłośnie, kilofami i łopatami pracowali przy gorącym asfalcie.

W zimie Egger pozostał jednym z niewielu, którzy nadal znajdowali się na liście płac firmy. Wraz z garstką innych mężczyzn – wśród nich był Thomas Matzl, nad wyraz przydatny dla firmy dzięki swemu wieloletniemu doświadczeniu w lesie – dalej poszerzał przesiekę i oczyszczał ją z kamieni, gałęzi i pniaków. Często stali po pas zakopani w śniegu i wyrąbywali korzenie z zamrożonej ziemi, a zlodowaciałe płatki cięły na wietrze ich twarze niczym śrut, tak że skóra zaczynała im krwawić. Podczas pracy odzywali się tylko wtedy, gdy było to konieczne, a w czasie przerw obiadowych siedzieli w milczeniu pod okrytą śniegiem jodłą i piekli nad ogniem chleb nawijany na patyk<sup>\*\*\*</sup>. Jeden za



drugim czołgali się przez leśne poszycie albo w zawieruchę tkwili skuleni za skałą i chuchali na spękane od zimna dłonie. Byli jak zwierzęta, myślał Egger, czołgali się po ziemi, załatwiali swoje potrzeby za najbliższym drzewem i byli tak brudni, że ledwie dało się ich odróżnić od otoczenia. Często myślał też o Marie, która czekała na niego w domu. Nie był już sam, a chociaż ciągle jeszcze nie nawykł do tego uczucia, to rozgrzewało go silniej niż ognisko, w którego żarzący się popiół wstawiał swoje zamrożnięte na kamień buciory.

Na wiosnę, gdy nadeszły roztopy i w lesie zewsząd zaczęły dobiegać tajemnicze ciurkania i bulgoty, w ekipie Eggera zdarzyło się nieszczęście. W trakcie rąbania limby zgiętej pod zwałami śniegu napięcie w drewnie nagle zelżało z ostrym trzaskiem, a z pnia oderwał się kawał wielkości człowieka i odciął młodemu drwalowi Gustlowi Grollererowi prawą rękę, którą ten nieszczęśliwym trafem akurat wznosił wysoko nad głowę do kolejnego ciosu siekierą. Grollerer upadł, tępo wpatrzony w swoją leżącą dwa metry dalej na leśnej ziemi rękę. Jej palce nadal mocno ścisnęły stylisko. Przez chwilę nad zdarzeniem zapadła osobliwa cisza i zdawało się, że cały las wstrzymał oddech. Wreszcie Thomas Matzl drgnął jako pierwszy.

– Jezu – rzucił. – Niedobrze to wygląda.

Wyciągnął ze skrzyni na narzędzia drucianą pętlę służącą do ściągania kory i z całej siły zacisnął wokół kikuta ręki, z którego tryskała ciemna krew. Grollerer ryknął, szarpnął tułowiem i osunął się nieprzytomny na ziemię.

– Zaraz sobie z tym poradzimy – powiedział Matzl i obwinął swoją chustkę wokół rany. – Tak szybko jeszcze nikt się nie wykrwawił.

Jeden z mężczyzn zaproponował, by naciąć gałęzi i zrobić z nich nosze. Drugi zabrał się do nacierania kikuta garścią leśnych ziół, ale szybko go przepędzono. Wreszcie wszyscy się zgodzili, że najlepiej będzie znieść rannego, tak jak jest, do wioski, tam przywiązać do paki diesla i zawieźć do szpitala. Lombardzki ślusarz maszynowy podniósł Grollerera z ziemi i zarzucił sobie jak

miękki worek na ramiona. Rozgorzała krótka dyskusja, co zrobić z ręką. Trzeba ją zapakować i zabrać, proponowali jedni, może doktorzy by ją przyszyli. Ale całej ręki to i najszczańsi doktorzy jeszcze nie przyszyli, protestowali drudzy, a gdyby się nawet jakoś udało, to przecież wisiałaby potem taka wiotka i paskudna u boku Grollerera i przysparzała mu kłopotów przez resztę życia. Dyskusję uciął sam Grollerer, który przecknął się z omdlenia i wisząc na plecach ślusarza, uniósł głowę.

– Pochowajcie moją rękę w lesie. Może wyrośnie z niej krzak dziurawca!

Gdy reszta mężczyzn ruszyła w drogę do wsi z byłym już drwalem Gustlem Grollererem, Egger i Thomas Matzl pozostali na miejscu wypadku, by pogrzebać rękę. Wokół niej ściółka i ziemia były ciemne od krwi, a palce, gdy je odginali od styliska siekiery, woskowe i zimne w dotyku. Na opuszcze palca wskazującego siedział mały, smolście czarny chrząszcz z rodziny kózkowatych. Matzl trzymał przed sobą sztywną rękę i przyglądał jej się zmrużonymi oczyma.

– To jednak jest dziwne – powiedział. – Jeszcze chwilę temu to była część Grollerera, a teraz jest martwa i niewiele więcej warta niż spróchniała gałąź. Jak myślisz, czy Grollerer jest jeszcze teraz w ogóle Grollererem?

Egger wzruszył ramionami.

– A czemu nie? Nawet jeśli tylko z jedną ręką.

– A gdyby drzewo oderwało mu obie ręce?

– Nawet wtedy. To cały czas Grollerer.

– A gdyby, powiedzmy, urwało mu obie ręce, obie nogi i połowę głowy?

Egger zastanowił się.

– Prawdopodobnie nadal byłby Grollererem... w jakiś sposób. – Nagle nie był już taki pewien tego, co mówi.

Thomas Matzl westchnął. Ostrożnie odłożył rękę na skrzynię z narzędziami, po czym paroma sztychami łopaty wykopali razem z Eggerem dół w ziemi. Tymczasem las znowu zaczął oddychać, a nad ich głowami rozśpiewały się ptaki.

Dzień był chłodny, jednak teraz warstwa chmur się rozstąpiła i migocące promienie słońca przedarły się przez okap liści, czyniąc ziemię rozmokłą i miękką. Złożyli rękę w niewielkim grobie i zasypali. Jako ostatnie zniknęły palce. Przez chwilę wystawały z ziemi jak grube mączniaki, a potem znikły. Mattl wygrzebał z kieszeni kapciuch z tytoniem i zaczął nabijać własnoręcznie wystruganą fajkę z drewna śliwy.

– Jedno wielkie dziadostwo z tym umieraniem – powiedział. – Z czasem człowieka po prostu ubywa. U jednego idzie to szybko, u innego może potrwać. Od chwili narodzin tracisz po kolei jedno po drugim, najpierw palec, potem całe ramię, najpierw ząb, potem wszystkie zęby, najpierw wspomnienie, potem całą pamięć i tak dalej, i tak bez końca, póki w którymś momencie nic już nie zostaje. Wtedy zgarniają resztkę ciebie do dołu, zakopują i fertig.

– I będzie ziąb – powiedział Egger. – Ziąb, który przeżre człowiekowi duszę.

Stary przyjrzał się Eggerowi. Potem skrzywił się i splunął tuż obok cybucha fajki na zdradziecki odłamek limby, do którego brzegów lepiła się krew Grollerera.

– Brednie. W ogóle nic nie będzie, żadnego ziąbu, a już na pewno żadnej duszy. Trup to trup i tyle. Potem już nic nie ma, dobrego Pana Boga też. Gdyby dobry Pan Bóg istniał, to jego królestwo niebieskie nie byłoby tak diabelnie daleko!

Sam Thomas Mattl opuścił ten świat niemal dokładnie dziewięć lat później. Przez całe życie chciał umrzeć przy pracy, ale wyszło inaczej. Podczas kąpieli w jedynej wannie w obozowisku dla robotników, sfatygowanym gracie z ocynkowanego żelaza, wynajmowanym przez jednego z kucharzy robotnikom za drobną opłatą, Thomas Mattl zasnął. Gdy się obudził, woda była lodowata, a on złapał przeziębienie, z którego już nie wyzdrowiał. Kilka nocy przeleżał na pryczy, zlewając się potem i wygadując jakieś brednie, które kręciły się wokół jego dawno zmarłej matki albo „wysysających krew leśnych diabłów”. Po czym

pewnego ranka wstał i oświadczył, że jest już zdrowy i chce iść do pracy. Wskoczył w spodnie, wyszedł przed drzwi, wyciągnął głowę ku słońcu i padł martwy. Pochowano go obok wiejskiego cmentarza na pochyłej łące, odkupionej przez firmę od gminy. Praktycznie wszyscy pracownicy, którzy mogli przyjść, zebrali się, żeby go pożegnać, i wysłuchali krótkiej mowy pogrzebowej skleconej przez jednego z brygadzystów, traktującej o ciężkiej pracy na górze i czystej duszy Mattla.

Thomas Mattl był oficjalnie jednym z łącznie trzydziestu siedmiu mężczyzn, którzy zginęli podczas pracy dla firmy Bittermann i Synowie aż do jej bankructwa w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. W rzeczywistości tych, którzy postradali życie przy coraz szybciej rozwijających się od lat trzydziestych kolejach linowych, było o wiele więcej.

– Z każdym wagonikiem ktoś idzie do piachu – powiedział Mattl któreś z ostatnich nocy. Jednak pozostali mężczyźni nie potraktowali już tego poważnie, bo myśleli, że gorączka wypaliła mu resztki rozumu w czaszce.

\*

Tak skończył się pierwszy rok Andreasa Eggera w firmie Bittermann i Synowie, a Pierwsza Kolejka Linowa na Zawracaną Kopę (tak brzmiała jej urzędowa nazwa, używana zresztą wyłącznie przez burmistrza i turystów – miejscowi zwali ją po prostu Błękitną Lizą z powodu jej dwóch jaskrawobłękitnych gondoli, których nieco płasko ukształtowane partie frontowe kojarzyły im się z małżonką burmistrza) została uroczyście otwarta na górnej stacji podczas wielkiej ceremonii inauguracyjnej, kiedy to rzesza wytwornych przybyszów w cienkich garniturach i jeszcze cieńszych sukienkach stała, marznąc, na platformie, a proboszcz wykrzykiwał pod wiatr błogosławieństwo, sutanna zaś łopotiała mu wokół ciała niczym zmierzwione pióra kawki. Egger znajdował się wśród kolegów, którzy rozstawili się po całej górze pod Czaszką

Olbrzyma, i za każdym razem, gdy widział, jak ludzie na platformie zaczynają klaskać, wyrzucał w górę ramiona i krzyczał porwany entuzjazmem. W jego sercu pojawiło się osobliwe uczucie ogromu i dumy. Czuł się częścią czegoś wielkiego, czegoś, co dalece przerastało jego siły (włączając tu siłę wyobraźni) i co miało, jak sądził, pchnąć naprzód nie tylko życie w dolinie, lecz także całą ludzkość. Odkąd kilka dni wcześniej Błękitna Liza podczas jazdy próbnej ostrożnie dokołysała się na górę, poszarpując, lecz bez dalszych incydentów, góry jakby straciły coś ze swej wiecznotrwalej potęgi. A nowe kolejki rysowały się na horyzoncie. Firma przedłużyła umowy prawie wszystkim robotnikom i przedstawiła plany budowy w sumie piętnastu napowietrznych kolei linowych, w tym pewnej przerażającej konstrukcji, za pomocą której pasażerowie razem z plecakami i nartami byliby przewożeni nie w wagonikach, lecz na swobodnie bujających się w powietrzu drewnianych fotelach. Egger uznał wprawdzie tę koncepcję za pocieszną, jednak w duchu skrycie podziwiał inżynierów, którzy wycisnęli ze swych głów tak fantastyczne rzeczy i których pewności siebie i blasku zawsze nienagannie wypucowanych butów najwyraźniej nie były w stanie zmącić ani śnieżne zawieruchy, ani letni skwar.

\*

Pół życia albo prawie cztery dziesiątki lat później, czyli latem roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, Egger stał w tym samym miejscu i przyglądał się, jak wysoko nad jego głową płynęły gładko i z ledwie słyszalnym brzęczeniem lśniące srebrem gondole dawnej Błękitnej Lizy. Na górnej platformie drzwi gondoli otwierały się z długim sykiem i wypuszczały gromadę wycieczkowiczów, którzy rozpraszali się we wszystkich kierunkach i niczym barwne owady rozpierzchali po całej górze. Eggera denerwowali ci ludzie, bezmyślnie wspinający się po piargach i zdający bezustannie szukać jakichś ukrytych skarbów. Chętnie zastąpiłby im drogę, by powiedzieć, co o tym

myśli, jednak w zasadzie nie wiedział, co właściwie miałby im do zarzucenia. W skrytości ducha, tyle potrafił przyznać sam przed sobą, zazdrościł wycieczkowiczom. Widział, jak skaczą po skałach w sportowych butach i krótkich spodniach, biorą dzieci na ręce i śmieją się wprost do aparatów fotograficznych. On zaś był starym mężczyzną, do niczego niezdatnym i zadowolonym, że może jeszcze w miarę prosto się poruszać. Tak długo już żył na tym świecie, widział, jak się zmienia i z każdym rokiem wydaje kręcić coraz szybciej, i czuł się jak ostaniec z dawno pogrzebanego czasu, kolczaste zielsko, które choćby ostatkiem sił stale wyciąga się ku słońcu.

\*

Tygodnie i miesiące, które nastąpiły po ceremonii otwarcia na górnej stacji, były najszczęśliwszym okresem w życiu Andreasa Eggera. Postrzegał siebie jako wprawdzie mały, lecz wcale nie tak nieistotny trybik gigantycznej maszyny zwanej postępem, i czasem przed zaśnięciem wyobrażał sobie, jak siedzi w brzuchu tej maszyny, niepowstrzymanie torującej sobie drogę przez góry i lasy, i jak w pocie własnego czoła przyczynia się do jej ciągłego marszu naprzód. Słowa „w pocie własnego czoła” wziął z podartej broszury, którą Marie znalazła pod jedną z ław w gospodzie i którą zdarzało się jej wieczorami czytać mu na głos. Oprócz wszelakich przemyśleń na temat mody miejskiej, ogrodnictwa, trzymania zwierząt domowych i ogólnie moralności znalazła się tam również pewna opowieść. Traktowała o zubożałym rosyjskim szlachcicu, który wiózł zimą przez pół Rosji swoją ukochaną, obdarzoną niezwykłymi talentami gospodarską córkę, by uratować ją przed prześladowaniami ze strony kilku religijnie zaślepionych przedstawicieli wioskowej starszyny, w tym jej własnego ojca. Opowieść kończyła się tragicznie, zawierała jednak całą masę tak zwanych scen romantycznych, które Marie czytała z ledwie słyszalnym drzeniem w głosie, a które wywoływały u Eggera osobliwą mieszaninę odrazy i fascynacji. Uważnie

słuchał słów płynących z ust Marie i czuł, jak pod kołdrą powoli rozchodzi się gorąco, które, jak sądził, wkrótce ogarnie całą chatę. Za każdym razem gdy zubożały szlachcic i gospodarska córka pędzili powozem przez pokryty śniegiem step, za nimi tętent koni i wściekły wrzask prześladowców, i gdy dziewczyna z trwogą rzucała się w ramiona hrabiego, muskając mu przy tym policzek rąbkiem swej ubrudzonej w podróży sukienki, Egger nie mógł już dłużej wytrzymać. Skopywał z siebie kołdrę i rozgorączkowanymi oczami wpatrywał się w ciemność drgającą pod powalą. Marie chowała wówczas pieczołowicie broszurę pod łóżko i zdmuchiwała świecę.

– Chodź – szeptała w mrok, a Egger był jej posłuszny.

\*

Pod koniec marca tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku Egger i Marie siedzieli na progu domu po zachodzie słońca i patrzyli na dolinę. W ciągu ostatnich tygodni mocno sypało, ale od dwóch dni nagłe ocieplenie zapowiadało wiosnę, śnieg wszędzie topniał, a za dnia spod okapu wysuwały się już znad skraju gniazda dziobki małych jaskółeczek. Od świtu do nocy jaskółczy rodzice przylatywali z robakami i owadami w dziobach do swego potomstwa, a Egger stwierdził, że „samo ich gówno wystarczyłoby, żeby wymurować nowy fundament”. Jednak Marie lubiła ptaki, uważała je za fruujące talizmany, które trzymają zło z dala od domu, a zatem pogodził się z nieczystościami i gniazdo pozostało.

Egger prześliznął się spojrzeniem po wsi i przeciwległym zboczem. W wielu domach okna już się świeciły. Od pewnego czasu w dolinie nastąpiła elektryczność i w niektóre dni można było zobaczyć tu i tam starego bauera, jak siedzi w izbie przed lampą i z zadziwieniem wpatruje się w blask. Także w obozowisku światła już się pozapalały, a z wąskich żelaznych rur niemal pionowo unosił się dym w zasnuwane chmurami niebo. Z oddali wyglądało to, jakby chmury były

przywiązane cienutkimi niteczkami do dachów i wisiały nad doliną niczym ogromne, nieforemne balony. Wagoniki Błękitnej Lizy stały nieruchomo i Egger pomyślał o obu konserwatorach, którzy w tej właśnie chwili pełzali z puszczkami oleju po maszynowni, by nasmarować całą aparaturę. Następna kolej linowa była już ukończona, na trzecią zaś w sąsiedniej dolinie zaczęto rąbać przesiekę, dłuższą i szerszą niż obie poprzednie razem wzięte. Egger patrzył na swój stromo opadający, okryty śniegiem spłacheć ziemi, rozpościerający się przed nim. Czuł, jak wzbiera w nim niewielka, ciepła fala zadowolenia, i najchętniej wyskoczyłby w górę i wykrzyczał swoje szczęście na cały świat, jednak Marie siedziała tak cicho i spokojnie, że też nie ruszył się z miejsca.

– Może moglibyśmy posadzić jeszcze więcej warzyw – powiedział. – Mógłbym powiększyć ogród. Znaczy z tyłu za domem. Ziemiaki, cebulę i takie tam.

– Tak, Andreas, dobrze by było – odparła. Egger spojrzał na nią. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zwróciła się do niego po imieniu. To był pierwszy raz i dziwnie się z tym czuł. Grzbietem dłoni otarł sobie czoło i odwrócił wzrok.

– Trzeba zobaczyć, czy to wszystko wyrośnie na takim gruncie – powiedział i zaczął wiercić czubkiem buta w zamrzniętej ziemi.

– Coś wyrośnie. I będzie to coś naprawdę cudownego – odpowiedziała. Egger znowu się jej przyjrzał. Siedziała lekko przechylona do tyłu, a jej twarz ginęła w cieniu sieni. Tylko oczy można było rozpoznać, dwie błyszczące krople w ciemności.

– Dlaczego tak patrzysz? – zapytał cicho. Nagle poczuł zakłopotanie, siedząc obok tej kobiety, którą tak dobrze znał i która jednocześnie była mu tak obca. Pochyliła się nieco i złożyła ręce na łonie. Wydały mu się one niezwykle delikatne i białe. Niemożliwe, by jeszcze przed paroma godzinami rąbały siekierą drewno na opał. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Marie, i chociaż ciągle patrzył



na białe ręce na jej łonie, wiedział, że się uśmiecha.

\*

W nocy Eggera zbudził dziwny dźwięk. Niewiele więcej niż przecucie, łagodny szept muskający mury. Leżał w ciemności i nasłuchiwał. Czuł obok siebie ciepło żony i słyszał, jak cicho oddycha. Wreszcie wstał i wyszedł na dwór. Uderzył w niego ciepły wiatr, zwany fenem, i niemal wyrwał mu drzwi z dłoni. Po nocnym niebie pędziły czarne chmury, a między nimi przebłyskiwał blady, nieforemny księżyc. Egger zaczął brnąć przez łąkę. Śnieg był mokry i ciężki, wszędzie bulgotała woda roztopów. Pomyślał o warzywach i o tym, co jeszcze byłoby do zrobienia. Ziemia nie była nadto urodzajna, ale wystarczy. Mogliby mieć kozę, może nawet krowę, pomyślał, dla mleka. Zatrzymał się. Gdzieś na wysokościach usłyszał dźwięk, jakby coś rozpękło się z westchnieniem we wnętrzu góry. Po czym usłyszał niski, przybierający na sile pomruk i ledwie chwilę później ziemia zaczęła mu drzeć pod nogami. Nagle zrobiło mu się zimno. W ciągu kilku sekund pomruk urósł do przeraźliwego, wysokiego dźwięku. Egger znieruchomiał, słysząc jak góra zaczyna śpiewać. Po czym zobaczył, jak w odległości około dwudziestu metrów bezgłośnie przelatuje obok niego coś wielkiego i czarnego i zanim jeszcze pojął, że to pień drzewa, rzucił się do biegu. Pędził przez głęboki śnieg z powrotem do domu i wołał Marie, lecz w następnej chwili coś go porwało i dźwignęło wysoko nad ziemię. Poczował, że jest niesiony w powietrzu, a ostatnie, co zobaczył, nim pochłonęła go ciemna fala, to własne nogi, sterczące nad nim w górę do nieba, jak gdyby straciły łączność z resztą ciała.

Gdy Egger odzyskał przytomność, chmury znikły, a na nocnym niebie lśnił bielą księżyc. W jego świetle wokół wznosiły się góry, ich skute lodem granie wyglądały, jakby wycięto je z blachy, w swojej ostrości i wyrazistości zdawały się rozcinać niebo. Egger leżał, wygięty ukośnie, na plecach. Mógł poruszać

głową i rękami, jednak nogi tkwiły po pas w śniegu. Zaczął kopać. Używał obu rąk jako łopat i wygrzebał obie nogi ze śniegu, a gdy się uwolnił, ujrzał zaskoczony, jak leżą przed nim, zimne i obce niczym dwie kłody drewna. Obiema pięściami zaczął tłuc się po udach.

– Tylko mnie teraz nie zostawcie – powiedział i wydał z siebie na koniec ochryply śmiech, gdy wraz z krwią przez nogi popłynął ból. Usiłował się podnieść, jednak natychmiast upadł. Obrzucał przekleństwami swoje nogi, które nie nadawały się do niczego, i obrzucał przekleństwami całe swoje ciało, które było słabsze niż ciało małego dziecka. – No dalej, wstawaj! – rzekł do siebie i przy kolejnej próbie udało mu się i wstał.

Okolica się zmieniła. Lawina pogrzebała pod sobą drzewa i skały i wygładziła ziemię. Zwały śniegu słały się w świetle księżyca niczym gigantyczna kłoda. Usiłował ustalić swoje położenie, patrząc na szczyty. O ile mógł się zorientować, znajdował się około trzystu metrów poniżej swojej chaty, która powinna była stać tam u góry, za pagórem usypanym ze śniegu. Ruszył w drogę. Marsz był wolniejszy, niż się spodziewał, śnieg lawinowy był nieprzewidywalny, w jednym miejscu twardy jak kamień i wręcz sklejony z podłożem, a już dwa kroki dalej miękki i sypki niczym cukier puder. Ból był nieznośny. Bał się przede wszystkim o swoją zdrową nogę. Miał wrażenie, że w jego udzie tkwi żelazny kolec, który z każdym krokiem coraz głębiej wbija się w ciało. Pomyślał o małych jaskółczkach. Miał nadzieję, że nie zmiotła ich fala uderzeniowa. Gniazdo wszakże mieściło się w dobrze osłoniętym miejscu, a sam postawił stabilne wiązary. Mimo to będzie musiał wzmocnić dolne belki poprzeczne, dach obciążyć kamieniami, a tylną ścianę osłoni głęboko wkopanym w zbocze murem oporowym z wpasowanych w siebie skalnych odłamków.

– Ale kamienie muszą być płaskie! – rzucił głośno do siebie.

Zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał. Nie słychać było jednak najlżejszego szmeru. Fen ucichł i Egger czuł tylko delikatne podmuchy na skórze. Szedł dalej.

Świat wokół niego był cichy i martwy. Przez chwilę miał uczucie, że jest ostatnim człowiekiem na Ziemi albo przynajmniej ostatnim człowiekiem w dolinie. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Co za głupota – stwierdził i szedł dalej.

Ostatni kawałek przed śnieżnym pagórem był stromy i Egger musiał pełznąć na czworakach. Śnieg kruszył mu się pod palcami i wydawał osobliwie ciepły. Dziwnym trafem ból nóg znikł, ale głęboko w kościach nadal tkwił ziąb i miał wrażenie, że są one lekkie i kruche jak ze szkła.

– Zaraz będę na miejscu – powiedział do siebie albo do Marie, albo do kogoś jeszcze innego, jednak w tej samej chwili uświadomił sobie, że nikt go już nie usłyszy, a gdy wciągnął tułów na grzbiet pagóra, załkał głośno. Klęczał w śniegu i rozglądał się po oświetlonej księżycem płaszczyźnie, na której kiedyś stał jego dom. – Marie, Marie! – wołał w ciszę imię żony.

Podniósł się i zaczął krążyć bez celu po swojej ziemi. Pod sięgającą kolan warstwą puchu śnieg był twardy i gładki niczym ubity walcem. Wszędzie leżały porozrzucane gonty, kamienie i potrzaskane drewno. Rozpoznał żelazną obręcz beczki na deszczówkę, a tuż obok jeden ze swych butów z cholewami. W nieco wyżej położonym miejscu wystawał z ziemi kawałek komina. Egger zrobił jeszcze kilka kroków w tę stronę, gdzie spodziewał się znaleźć wejście do domu. Padł na kolana i zaczął kopać. Kopał, póki ręce nie spłynęły mu krwią i nie zafarbowały śniegu ciemną barwą. Gdy po godzinie dokopał się jakieś półtora metra w głąb i wymacał poranionymi palcami jeden z roztrzaskanych przez lawinę wiązarów, niczym zacementowany w śniegu, przestał kopać. Wyprostował się i spojrzał w nocne niebo. A potem padł twarzą naprzód, w śnieg przepojony własną krwią.

\*

Minęły tygodnie, nim okruchy poszczególnych relacji złożyły się w całość

i wydarzenia owej nocy nabrały zrozumiałego kształtu w głowach mieszkańców. Lawina zeszła o godzinie drugiej trzydzieści. Około pięćdziesięciu metrów pod Pasterskim Szczytem ze śnieżnego nawisu oderwała się ogromna bryła i z impetem runęła w dół. Jako że w miejscu, gdzie się oderwała, teren opadał niemal pionowo, lawina szybko nabierała prędkości i pędząc ku dolinie, siała spustoszenie. Masy śniegu z łoskotem przetoczyły się tuż obok tylnego krańca wsi, docierając na przeciwległą stronę doliny, gdzie wywołały mniejszą lawinę wtórną, która swym północnym jęzorem sięgnęła nawet obozowiska robotników firmy Bittermann i Synowie, by zatrzymać się ostatecznie ledwie na długość ramienia przed starą wanną Thomasa Mattla. Lawina porwała wyrwany z korzeniami las, zostawiając za sobą głęboką rynnę aż po pagórek przy wiejskim stawie. Mieszkańcy wsi opowiadali o głuchoj detonacji, po której dał się słyszeć szum czy szmer, jakby ciężkie stąpanie potężnego stada bydła, zbliżającego się szybko od góry ku wiosce. Od fali uderzeniowej zadrżały szyby i wszędzie ze ścian pospadały figurki Matki Boskiej i krucyfiksy. Ludzie w popłochu opuszczali domy i wybiegali na ulice, nad ich głowami wciągniętymi w ramiona chmura śnieżnego pyłu, wchłaniająca gwiazdy. Zebrali się przed kaplicą, a chór szeptów modlących się kobiet towarzyszył cichnącemu pomrukowi lawiny. Chmura śniegu opadła niezwykle powoli i okryła wszystko delikatną, białą warstwą. Śmiertelna cisza zaległa nad doliną i mieszkańcy wiedzieli, że to już koniec.

Szkody były straszliwe, o wiele cięższe niż po wielkiej lawinie z tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku, którą kilkoro najstarszych ludzi we wsi miało jeszcze, jak twierdzili, w pamięci i która pogrzebała szesnaście dusz, o czym niemo świadczyło szesnaście krzyży wrytych na domowym ołtarzu w gospodarstwie Odfreinerja. Cztery gospodarstwa, dwie duże stodoły na siano, niewielki młyn burmistrza nad górskim strumieniem oraz pięć baraków robotniczych i jedna z latryn w obozowisku zostały całkowicie zniszczone lub

przynajmniej poważnie uszkodzone przez lawinę. Śmierć w niej znalazło dziewiętnaście krów, dwadzieścia osiem świń, niezliczone kury i sześć jedynych we wsi owiec. Traktorem lub gołymi rękoma wydobyto ich ścierwa ze śniegu i spalono razem, wykorzystując nienadające się już do użytku drewno z rumowisk. Jeszcze przez wiele dni smród spalonego mięsa wisiał w powietrzu i tłumiał zapach wiosny, która wreszcie nadeszła, powodując topnienie zwałów śniegu i odsłaniając w ten sposób całkowite rozmiary katastrofy. Jednakże mieszkańcy wsi zebrali się w niedzielę w kaplicy i dziękowali Panu za jego dobroć. Bo jedynie łaskowości Bożej można było przypisać fakt, że lawina zabrała życie tylko trzem osobom: sędziwej parze gospodarzy Simonowi i Hedwidze Jonasserom, których dom został całkowicie pogrzebany pod śniegiem i których, gdy już przekopano się do ich sypialni, znaleziono na łóżku w ciasnym uścisku, z przytulonymi do siebie twarzami, uduszonych, oraz pomocnicy karczmarza Marie Reisenbacher, młodej oblubienicy Andreea Eggera.

Mężczyźni z zebranej naprędce jeszcze w noc nieszczęścia ekipy ratunkowej znaleźli chatę Eggera zagrzebaną pod śniegiem, a jego samego zwiniętego w kłębek obok wykopanej gołymi rękami dziury w śniegu. Gdy zbliżyli się do miejsca nieszczęścia, tak mu później opowiadano, nie poruszył się i żaden z mężczyzn nie dałby złamanego grosza za to, że w tym ciemnym ludzkim łachmanie tli się jeszcze życie. Egger nie potrafił przypomnieć sobie najdrobniejszego szczegółu ze swego ocalenia, jednak do końca życia nosił w sobie oniryczny obraz pochodni, które wyłaniały się z ciemności i z wolna, chwiejąc się, zbliżały się do niego niczym duchy.

Zwłoki Marie wydobyto spod śniegu, wystawiono w kaplicy obok małżonków Jonasserów i wreszcie zaniesiono na gminny cmentarz do grobu. Pogrzeb odbył się w promienny, słoneczny dzień, a nad usypaną ziemią brzęczały pierwsze trzmielce. Egger siedział na zydlu, przyjmując kondolencje,

chory i zeszywniały z żalości. Nie rozumiał, co ludzie do niego mówią, a ręce, które mu podawano, sprawiały wrażenie jakichś dziwacznych tworów.

\*

Na najbliższe tygodnie Egger znalazł schronienie w gospodzie Pod Złotą Kozicą. Większość czasu leżał w łóżku w maleńkim pokoiku za pralnią, który karczmarz oddał mu do dyspozycji. Złamania nóg goiły się bardzo powoli. Jako że nastawiacz kości Alois Klammerer umarł już przed laty (rak wyżarł mu podniebienie, połowę szczęki i jedną stronę twarzy, tak że pod koniec można mu było oglądać zęby przez odsłonięty policzek niczym przez okno), trzeba było pofatygować młodego lekarza gminnego, który sprowadził się do wsi dopiero w poprzednim sezonie i żył głównie ze skręconych, zwichniętych lub złamanych kończyn występujących coraz liczniej turystów pieszych i narciarzy. Firma Bittermann i Synowie pokryła honorarium lekarskie, a Egger dostał dwa lśniące białą gipsowe opatrunki na obu nogach. Pod koniec drugiego tygodnia wsadzono mu pod plecy grubą, słomianą poduszkę, tak że mógł usiąść i napić się mleka z kubka, nie zaś jak do tej pory siorbać je z glinianej miseczki. Po upływie trzeciego tygodnia wyzdrowiał już na tyle, że karczmarz wraz z pomocnikiem przy wyszynku codziennie koło południa obwijali go w końską derkę, podnosili z łóżka i sadzali przed drzwiami na niewielkiej brzozowej ławeczce, z której widział stok, gdzie stał kiedyś jego dom, a teraz dało się rozpoznać tylko opromienioną ciepłym, wiosennym słońcem kupę gruzu.

Pod koniec maja Egger poprosił jednego z podkuchennych o dobrze naostrzony topór rzeźniczy. Tak długo ciął nim i haratał gipsowe opatrunki, póki nie zdołał ich rozpołować i nie wyjrzały spod nich jego nogi. Białe i cienkie leżały na prześcieradle niczym dwa okorowane kijki, a ich widok wydał mu się jeszcze dziwniejszy niż przed paroma tygodniami, gdy wyciągnął je sztywne i zimne spod śniegu.

Przez kilka dni Egger dźwigał swe wynędzniałe ciało z łóżka do brzozonej ławeczki i z powrotem, póki wreszcie nie odzyskał poczucia, że jego nogi należą do niego i że byłyby na tyle silne, by zanieść go gdzieś dalej. Po raz pierwszy od wielu tygodni wśliznął się znowu w spodnie i wyruszył na swoją ziemię. Szedł przez las powalony przez lawinę i spoglądał na niebo, pełne małych, okrągłych obłoczków, i na kwiaty, które wyrastały wszędzie między pniakami i powyrywanych drzewami, białe, żółciutkie i lśniące błękitne. Starł się obejrzeć okolicę jak najdokładniej, by sobie wszystko dobrze zapamiętać. Chciał zrozumieć, co się stało, ale gdy po paru godzinach dotarł na swój skrawek ziemi i zobaczył porzucane belki i deski, pojął, że nie było tu nic do rozumienia. Usiadł na kamieniu i myślał o Marie. Wyobrażał sobie, co stało się owej nocy, i przed oczyma duszy stanęły mu straszliwe obrazy: Marie, wyprostowana, z rękoma wyciągniętymi na kołdrze, siedziała na łóżku i z szeroko rozwartymi oczami nasłuchiwała w ciemności, ledwie sekundę przed tym, gdy lawina niby ogromna pięść rozwalila ściany i wbiła jej ciało w zimną ziemię.

---

\*\*\* To popularne piknikowe danie w krajach niemieckojęzycznych – pas ciasta drożdżowego (często z nadzieniem z szynki albo też na słodko) owija się na kształt węża wokół patyka z drzewa liściastego i piecze w płomieniu ogniska.

Jesienią, niemal pół roku po zejściu lawiny, Egger opuścił dolinę, by ruszyć dalej wraz z firmą. Nie nadawał się już jednak do ciężkiej pracy drwala.

– I co my mamy z tobą zrobić? – zapytał prokurent, gdy Egger przekuśtykał bezgłośnie po dywanie i stanął ze zwieszoną głową przed biurkiem.  
– Do niczego się już przecież nie nadajesz.

Egger kiwnął głową, a prokurent westchnął.

– Przykro mi z powodu tej sprawy z twoją żoną – powiedział. – Ale żebyś mi tylko nie wpadł na pomysł, że to ma coś wspólnego z wysadzaniem skał. Ostatnie wysadzanie skał było parę tygodni przed lawiną!

– Nie wpadnę – odparł Egger.

Prokurent przechylił głowę i przez chwilę patrzył przez okno.

– A może wierzysz, że góra ma pamięć? – zapytał znienacka. Egger wzruszył ramionami. Prokurent przechylił się na bok, wydał z siebie bulgocący odgłos i splunął do blaszanej miseczki stojącej u jego stóp. – No dobrze – powiedział wreszcie. – Firma Bittermann i Synowie zbudowała dotąd siedemnaście kolejek linowych i możesz mi wierzyć, to nie będą ostatnie. Ludzie po prostu zwariowali na punkcie zjeżdżania z gór na deskach. – Przesunął czubkiem buta miseczkę pod biurko i spojrzał z powagą na Eggera. – Bóg jeden wie, skąd się to bierze – dodał. – W każdym razie trzeba dbać o kolejki, sprawdzać liny, smarować koła jezdne, poddawać konserwacji dachy wagoników i tak dalej. Nie musisz mieć zawsze twardej ziemi pod stopami, co?

– Myślę, że nie – odparł Egger.

– No to dobrze – stwierdził prokurent.

\*



Eggera przydzielono do niewielkiej brygady złożonej z garstki milkliwych mężczyzn, na których brodatych, spalonych górskim słońcem twarzach trudno było dostrzec ślad emocji. W furgonetce, z reguły przycupnięci na wąskich ławeczkach na skrzyni, jeździli od kolejki do kolejki po coraz częściej wyasfaltowanych górskich drogach i zajmowali się pracami konserwatorskimi, zbyt skomplikowanymi, by można je było powierzyć miejscowym robotnikom. Zadanie Eggera polegało na tym, by siedząc w drewnianej konstrukcji przyczepionej do stalowych lin jedynie linką zabezpieczającą oraz ręcznie hamowanym mechanizmem rolkowym, powoli zsuwać się w stronę doliny i po drodze uwalniać od kurzu, lodu lub zaskorupiałego ptasiego łąjna liny i przeguby dźwigarów, po czym smarować je świeżym olejem. Nikt nie rwał się do tego zadania, rozniosło się, że w poprzednich latach dwaj mężczyźni, obaj doświadczeni wspinacze, spadli i zginęli na miejscu, czy to przez nieuwagę, czy wadę materiału, czy też po prostu przez wiatr, który czasami huśtał stalową liną o metr w każdą stronę. Lecz Egger nie znał strachu. Wiedział, że jego życie zawisło na cienkim sznurze, jednak gdy tylko wspiął się na dźwigar, zamocował mechanizm rolkowy i zapiął karabińczyki zabezpieczające, czuł, jak ogarnia go spokój i jak nieskładne i pełne rozpaczmyśli, które niczym czarna chmura spowijały jego serce, stopniowo rozpuszczają się w górskim powietrzu, aż wreszcie zostawał sam tylko czysty smutek.

Przez wiele miesięcy Egger przemierzał więc doliny, nocami spał w furgonetce lub w pokojach tanich pensjonatów i dzień w dzień kołysał się między niebem a ziemią. Widział, jak zima osiada na górach. Pracował w gęstej śnieżycy, zdrapywał żelazną szczotką lód z liny i obtłukiwał ze wsporników dźwigarów długie sople, które pękały z cichym brzękiem w otchłani lub bezgłośnie połykał je śnieg. Często słyszał z oddali głuchy pomruk lawin. Niekiedy zdawał się on zbliżać i wtedy Egger podnosił oczy na stok, oczekując ogromnej, białej fali, która przez chwilę będzie go niosła ze sobą, aż wreszcie

przetoczy się po nim, po linie, stalowych dźwigarach i całym świecie. Jednak za każdym razem pomruk cichł i znowu słychać było wysokie głosy kawek.

Na wiosnę marszruta zawiodła go na powrót do doliny, gdzie spędził jakiś czas, by uwolnić dukt Błękitnej Lizy od naniesionego drewna i naprawić drobne pęknięcia w fundamentach dźwigarów. Ponownie znalazł kwaterę w gospodzie Pod Żółtą Kozicą, w pokoju, w którym z potrzaskanymi nogami spędził tak wiele dni. Co wieczór wracał z góry śmiertelnie zmęczony, zjadał, siedząc na brzegu łóżka, resztki swojej dziennej racji i ledwie przyłożył głowę do poduszki, zapadał w ciężki sen bez marzeń. Pewnego razu zbudził się w środku nocy z dziwnym uczuciem, a gdy podniósł wzrok ku zakurzonemu okienku pod sufitem, zobaczył, że obsiadło je mnóstwo ciem. Skrzydła owadów połyskiwały w świetle księżyca i uderzały o szybę z ledwie dosłyszalnym, papierowym szelestem. Przez chwilę Egger sądził, że ich zjawienie się musi być znakiem, jednak nie wiedział, co miałyby on oznaczać, a zatem zamknął oczy i usiłował ponownie zasnąć. Przecież to tylko ćmy, pomyślał, parę dumnych, małych motyli, a gdy zbudził się wczesnym rankiem, zniknęły.

We wsi, która, o ile mógł ocenić, w znacznej mierze uporała się już ze skutkami lawiny, pozostał kilka tygodni, po czym ruszył dalej. Nie oglądał swego kawałka ziemi, nie poszedł na cmentarz, nawet nie usiadł na brzozonej ławeczce. Ruszył dalej, wisiał między górami w powietrzu i widział, jak w dole mijają pory roku niczym barwne obrazy, które nic mu nie mówiły i z którymi nie miał nic wspólnego. Lata po lawinie zachował w pamięci jako pusty, milczący czas, który z wolna i niemal niepostrzeżenie ponownie napełniał się życiem.

Gdy pewnego pogodnego jesiennego dnia wypadła mu z ręki rolka papieru ściernego i niczym rozbrykane kozłátko pomknęła w podskokach w dół zbocza, póki nie odbiła się od skalnego występu i nie znikła w oddali, Egger po raz pierwszy od długiego czasu przerwał pracę i rozejrzał się po otoczeniu. Słońce stało już nisko i nawet dalekie szczyty tak wyraźnie było widać na horyzoncie,

jakby ktoś właśnie wymalował je na niebie. W pobliżu rósł samotny, jaskrawożółty jawor, nieco dalej pasły się krowy, rzucając długie, wąskie cienie, które wędrowały za nimi łąką krok za krokiem. Pod daszkiem niewielkiego cieletnika siedziała grupa wędrowców. Egger słyszał, jak rozmawiają ze sobą i się śmieją, a ich głosy wydawały mu się obce i przyjemne zarazem. Pomyślał o głosie Marie i o tym, jak chętnie go słuchał. Usiłował przypomnieć sobie jego melodię i barwę, ale na próżno.

– Gdyby chociaż pozostał mi jej głos! – wykrzyknął. Po czym zjechał powoli do kolejnego dźwigara ze stali, zszedł na dół i rozpoczął poszukiwania papieru ściernego.

Trzy dni później Egger, spędziwszy deszczowy, zimny dzień na zdrapywaniu szczołką rdzy z nitów w cokole górnej stacji kolejki, zeskoczył wieczorem z furgonetki i wszedł do niewielkiego pensjonatu, gdzie mieszkał razem z innymi mężczyznami. W drodze do swojego pokoju przechodził obok pachnącego marynowanymi ogórkami saloniku właścicielki pensjonatu. Stara kobieta siedziała sama przy stole. Oparła się na łokciach i skryła twarz w dłoniach. Przed nią stał wielki radiodbiornik, z którego zwykle o tej porze dobiegały muzyka dęta albo furiackie słowotoki Adolfa Hitlera. Tym razem radio milczało, a Egger usłyszał ciche posapywanie staruszki, która oddychała w dłonie.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

Gospodyni uniosła głowę i spojrzała na niego. Palce odcisnęły się jej na twarzy, blade pasy, z wolna ponownie nabiegające krwią.

– Mamy wojnę – odpowiedziała.

– A kto tak twierdzi? – zapytał Egger.

– No jak to kto, radio – odparła staruszka i rzuciła odbiornikowi wrogie spojrzenie. Egger zobaczył, jak sięgnęła za głowę i dwoma szybkimi ruchami rozpuściła kok. Włosy staruszki opadły na kark, długie i żółtawe jak włókna lnu. Ramiona przez moment jej się zatrzęsły, jakby miała zaraz zaszlochać. Jednak

wstała, wyminęła go i ruszyła korytarzem na dwór, gdzie powitał ją brudny kot, który chwilę ocierał się o jej nogi, póki oboje nie zniknęli za rogiem.

Następnego ranka Egger wybrał się w drogę do domu, by zgłosić się do służby wojskowej. Nie była to decyzja, którą poprzedzałyby jakiegokolwiek rozważania. Nagle się po prostu pojawiła, niczym zew z oddali, i Egger wiedział, że musi go usłuchać. Już jako siedemnastolatek został wezwany do poboru, jednak wówczas Kranzstocker wniósł skuteczny sprzeciw, argumentując że jeśli wydrą mu z ramion ukochanego wychowanka (który, nawiasem mówiąc, był również najteższą siłą roboczą rodziny), by zmarnować go jako mięso armatnie na makaroniarzy albo (co jeszcze gorsze) żabojadów, to równie dobrze, na Boga, mogą mu od razu spalić pod dupą całe gospodarstwo. Egger był wówczas skrycie wdzięczny bauerowi. Wprawdzie nie miał w życiu nic do stracenia, jednakże było jeszcze parę rzeczy do zyskania. Teraz to się zmieniło.

Pogoda w miarę się trzymała, ruszył więc w drogę pieszo. Przez cały dzień maszerował, noc spędził w starej stodole i jeszcze przed wschodem słońca znowu podjął wędrówkę. Usłyszał monotonne brzęczenie drutów telefonicznych, które ostatnio rozpinano wzdłuż dróg między wąskimi masztami, i ujrzał, jak wraz z pierwszymi promieniami słońca z półmroku wyłoniły się góry, a chociaż oglądał już to widowisko tysiące razy, akurat dzisiaj osobliwie go ono poruszyło. Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w życiu widział coś tak pięknego i równocześnie tak napęniającego bojaźnią.

Pobył Eggera we wsi był krótki.

– Jest pan za stary. A poza tym kuleje – stwierdził oficer, który siedział w gospodzie Pod Żłotą Kozicą przy nakrytym białym obrusem i przyozdobionym małą flagą ze swastyką stole obiadowym i wraz z burmistrzem i starzejącą się maszynistką tworzył komisję poborową.

– Chcę na wojnę – powiedział Egger.

– A co niby pańskim zdaniem Wehrmacht miałby z panem robić? – zapytał

oficer. – Za kogo pan nas uważa?

– Andreas, nie wygłupiaj się, wracaj do roboty – powiedział burmistrz i sprawa była skończona. Maszynistka przybiła pieczęć na jednostronicowych aktach, a Egger wrócił do kolei linowych.

Niecałe cztery lata później, w listopadzie roku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, Egger stanął przed tą samą komisją, jednak tym razem nie jako ochotnik, lecz jako poborowy. Nie miał pojęcia, dlaczego Wehrmacht nagle ma co z nim robić, lecz najwyraźniej czasy się zmieniły.

– Co pan potrafi? – zapytał oficer.

– Znam się na górach – odparł Egger. – Umiem czyścić szmerglem stalową linę i wykuwać otwory w skale!

– To dobrze – uznał oficer. – Słyszał pan już kiedyś o Kaukazie?

– Nie – odparł Egger,

– Nie szkodzi – powiedział oficer. – Andreasie Eggerze, uznaję pana niniejszym za zdatnego do służby wojennej. Przypadło panu w udziale zaszczytne zadanie oswobodzenia Wschodu!

Egger spojrział przez okno. Na dworze zaczęło padać, grube krople klaskały o szybę, a izba gospody zasnuła się mrokiem. Kątem oka zobaczył, jak burmistrz powoli pochyliła się nad stołem i wpatruje w blat nieruchomym wzrokiem.

\*

Egger spędził w Rosji łącznie ponad osiem lat, z tego niecałe dwa miesiące na froncie, pozostały czas w obozie jenieckim gdzieś na pustkowiach północnej części stepów czarnomorskich. Mimo że zadanie na początku wydawało mu się jeszcze w miarę zrozumiałe (oprócz oswobodzenia Wschodu chodziło także o zabezpieczenie złóż ropy naftowej oraz o obronę i utrzymanie w dobrym stanie urzędzeń do jej wydobywania), to już po kilku dniach nie umiałby dokładnie

powiedzieć, dlaczego właściwie tam się znalazł i o co bądź przeciwko komu walczył. Jakby wszelka myśl o sensie czy bezsensie ginęła zdławiona w zarodku w te smolście czarne, zimowe noce kaukaskie, podczas których na górskich graniach na horyzoncie salwy armatnie rozkwiatały niczym świetliste kwiaty, a ich odbłask padał na przerażone lub zrozpaczone, lub otepiałe twarze żołnierzy. Egger o nic nie pytał. Wykonywał rozkazy, to wszystko. Zresztą był zdania, że mógł spotkać go o wiele gorszy los. Ledwie parę tygodni po jego przybyciu dwóch milczących i najwyraźniej obeznanych z okolicą towarzyszy zaprowadziło go nocą na wąską platformę skalną na wysokości około czterech tysięcy metrów nad poziomem morza. Miał tam pozostać, póki go nie odwołają, wyjaśnił mu jeden z jego przełożonych, żeby, po pierwsze, wywiercić szereg otworów wybuchowych, po drugie zaś, żeby ubezpieczać i w razie potrzeby utrzymać wysuniętą pozycję. Egger nie miał pojęcia, o jaką wysuniętą pozycję chodziło i co w ogóle przez taką pozycję należało rozumieć, lecz nie był niezadowolony z powierzonego mu zadania. Obaj towarzysze zostawili go z narzędziami, namiotem, skrzynką prowiantu i obietnicą, że raz w tygodniu wrócą z zaopatrzeniem, a Egger urządził się jak umiał. Całymi dniami wiercił dziesiątki otworów w skale, z której często musiał najpierw skuwać grubą warstwę lodu, a nocami leżał w namiocie i usiłował spać mimo dojmującego ziąbu. Do jego wyposażenia należały śpiwór, dwa koce, ocieplane futrem zimowe buty i gruba, pikowana kurta strzelców górskich. Ponadto wkopał namiot do połowy w zamrznięty nawis śnieżny, co przynajmniej trochę chroniło go przed wiatrem, który często dął tak głośno, że tłumił ryk bombowców i głuche wystrzały dział obrony przeciwlotniczej. Wszystko to jednak nie wystarczało, by uchować się przed zimmem. Mróz zdawał się wpełzać przez wszystkie szwy, pod ubranie i pod skórę i wbijał się pazurami w każde włókno ciała. Pod karą śmierci zabroniono rozpalania ognia, jednak nawet gdyby to było dozwolone, to platforma znajdowała się wysoko ponad górną granicą lasu i jak okiem sięgnąć nie było

nawet najmniejszej gałązki, którą Egger mógłby podpalić. Czasami zapalał mały kocher na benzynę, na którym podgrzewał sobie konserwy. Jednak małe płomyki zdawały się tylko z niego szydzić. Przypalały mu czubki palców, przez co reszta ciała jeszcze bardziej marzła. Egger bał się nocy. Zwinięty w kłębek leżał w śpiworze, a ziać wyciskał mu łzy z oczu. Czasami śnił. Były to gorączkowe sny, pełne bólu i ohydnych, prześladowających go gąb, które wyłaniały się z zawieruchy jego umysłu. Pewnego razu przebudził się z takiego snu, gdyż był przekonany, że coś miękkiego, ruchliwego wpełzło do namiotu i wpatruje się w niego nieruchomym wzrokiem.

– Jezu! – jęknął cicho i czekał, póki serce z wolna mu się nie uspokoi. Odrzucił śpiwór i wyczołgał się z namiotu.

Niebo było bezgwiezdne i bezdennie czarne. Cała okolica była pogrążona w ciemności i absolutnej ciszy. Egger usiadł na kamieniu i spoglądał w mrok. Znów słyszał, jak bije mu serce, i w tamtej chwili uświadomił sobie, że nie jest sam. Nie potrafił powiedzieć, skąd się wzięło to uczucie, widział tylko czerń nocy i słyszał bicie swojego serca, jednak gdzieś tam obok wyczuwał bliskość innej żywej istoty. Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział przed namiotem i nasłuchiwał w ciemności, jednak zanim jeszcze pierwsze blade promienie światła pojawiły się nad górami, wiedział już, gdzie znajduje się jego towarzysz: po drugiej stronie wąwozu, który platforma zamykała od zachodu, ze ściany wystawał skalny uskok, oddalony o jakieś trzydzieści metrów w linii prostej i szeroki ledwie na tyle, by zapewnić kozicy bezpieczny punkt podparcia. Na tym uskoku stał rosyjski żołnierz, którego sylwetka szybko zyskiwała na wyrazistości w coraz silniejszym świetle wczesnego poranka. Po prostu tam stał, w niepojętym bezruchu, i spoglądał ku Eggerowi, który nadal siedział na kamieniu i nie śmiał drgnąć. Żołnierz był młody i miał mlecznobiałą twarz miejskiego chłopaka. Jego czoło było gładkie i śnieżnobiałe, oczy dziwnie skośne. Broń, karabin kozacki bez bagnetu\*\*\*\*, nosił na rzemieniu przerzuconym przez ramię, prawa ręka

spoczywała spokojnie na kolbie. Rosjanin patrzył na Eggera, Egger patrzył na Rosjanina, a wokół nich trwała niezmacona cisza kaukaskiego zimowego poranka. Egger nie potrafiłby później powiedzieć, który z nich pierwszy się poruszył, w każdym razie ciało żołnierza drgnęło i Egger wstał. Rosjanin zdjął rękę z broni i otarł sobie rękawem czoło. Po czym odwrócił się i nie obejrzawszy się ani razu, wspinał szybko i zręcznie kilka metrów w górę, gdzie zniknął między skałami.

Egger tkwił nieruchomo jeszcze przez chwilę i się zastanawiał. Zrozumiał, że stał oko w oko ze swym śmiertelnym wrogiem, a jednak gdy ten zniknął, odczuł samotność jak nigdy wcześniej.

W pierwszym okresie obaj towarzysze Eggera przychodzili zgodnie z umową co kilka dni, by uzupełnić zapasy pożywienia, a w razie potrzeby przynieść parę wełnianych skarpet czy nowy świder do kamienia, jak też wieści z frontu (jego losy ważyły się raz w jedną, raz w drugą stronę, były klęski, ale i zwycięstwa, koniec końców nikt nic nie wiedział). Jednak po paru tygodniach ich wizyty ustały, a pod koniec grudnia – wedle rachuby Eggera, który wydrapywał kolejne dni świdrem na lodowej tafli, musiał to być drugi dzień świąt Bożego Narodzenia – po raz pierwszy powziął podejrzenie, że nigdy już nie przyjdą. Gdy po upływie kolejnego tygodnia nadal nikt się nie pojawił, ruszył wśród gęstej śnieżycy, pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, w powrotną drogę do obozu. Szedł szlakiem, którym przed prawie dwoma miesiącami wspinał się na górę, i poczuł ulgę, gdy wkrótce ujrzał migoczącą przed sobą znajomą czerwień swastyk. Jednak raptownie zrozumiał, że to wcale nie są chorągwie ze swastykami, które wbite w ziemię wyznaczały granicę obozu, lecz flagi Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. W tamtej chwili życie Eggerowi ocaliła li tylko jego przytomność umysłu, dzięki której natychmiast zerwał z pleców karabin i jak najdalej odrzucił od siebie. Widział, jak broń z głuchym odgłosem znika w śniegu, i ułamek sekundy później usłyszał krzyk wartowników



pędzących ku niemu. Podniósł ręce, padł na kolana i opuścił głowę. Poczul uderzenie w kark, przewrócił się do przodu i usłyszał rozbrzmiewające nad sobą głębokie rosyjskie głosy jak niepojęte dźwięki z innego świata.

Dwa dni później Egger kulił się wraz z dwoma innymi jeńcami w skleconej po partacku i obitej filcem drewnianej skrzyni, długiej i szerokiej na około półtora metra, a wysokiej na niespełna metr. Przez większość czasu wyglądał przez szparę i z aktywności na zewnątrz starał się odczytać wskazówki dotyczące planów Rosjan i jego własnej przyszłości. Gdy wreszcie na trzeci dzień ze zgrzytliwym piskiem wyciągnięto gwoździe z drewna, a jedna z desek odpadła, jaskrawe zimowe światło z taką siłą zakłuło go w oczy, że przeraził się, iż już nigdy nie zdoła ich ponownie otworzyć. Wprawdzie po chwili to mu się udało, ale uczucie oślepiającej jaskrawości, które nawet noce zmieniał w potok jasnego światła, towarzyszyło mu jeszcze długo po zakończeniu wojny i ostatecznie znikło dopiero wiele lat po powrocie do domu.

Transport do łagru w Woroszyłowgradzie<sup>\*\*\*\*\*</sup> trwał sześć dni, które Egger spędził pośród stłoczonej gromady jeńców na otwartej pacy ciężarówki. To była straszna podróż. Wiodła przez zimne dni i lodowate noce, pod ciemnym niebem rozdieranym ogniem artyleryjskim i przez otwarte, białe, śniegowe pola, z których bruzd sterczały zamarznęte na kość członki ludzi i koni. Egger siedział przy tylnej burcie i widział niezliczone drewniane krzyże ciągnące się wzdłuż drogi. Przyszła mu na myśl broszura, z której fragmenty tak często czytywała mu Marie, i pomyślał, jak niewiele wspólnego miał opisany tam zimowy krajobraz z tym skutym lodem, okaleczonym światem.

Jeden z jeńców, niski, przysadzisty mężczyzna, który usiłował ochronić głowę przed zimnem złachanymi strzępami końskiej derki, stwierdził, że krzyże nie są wcale takie smutne, jak się wydaje, one są po prostu drogowskazami wskazującymi prostą drogę do nieba. Mężczyzna ten nazywał się Helmut Moidaschl i lubił się śmiać. Śmiał się ze śniegu wiejącego im w twarz, śmiał się

z twardych jak cegły kawałków chleba, które wysypano im z worka na pakę. Ten chleb byłby lepszy do budowy porządných domów, stwierdził i śmiał się tak głośno, że obaj rosyjscy strażnicy również wybuchli śmiechem. Niekiedy machał ręką do starych kobiet, obmacujących przysypane śniegiem zwłoki w poszukiwaniu nadających się do użytku ubrań lub pożywienia. Gdy i tak już idziesz do piekła, mówił, śmieć się razem z diabłami, to nic nie kosztuje, a łatwiej ci będzie to wszystko znieść.

Helmut Moidaschl był pierwszym z długiego szeregu tych, których śmierć Egger widział w Woroszyłowgradzie. Już w noc po ich przybyciu chwyciła go gwałtowna gorączka i przez wiele godzin w baraku rozbrzmiewały jego krzyki tłumione przez strzepy końskiej derki. Rankiem znaleziono go martwego, leżał w kącie półnagi, zwinięty w kłębek, z pięściami przyciśniętymi do skroni.

Po kilku tygodniach Egger przestał liczyć umarłych chowanych w brzozowym lasku za łagrem. Śmierć była częścią życia jak pleśń częścią chleba. Śmierć była gorączką. Była głodem. Była szparą w ścianie baraku, przez którą gwizdał zimowy wiatr.

Egger został przydzielony do liczącej około stu osób grupy roboczej. Pracowali w lesie lub na stepie, rąbali drewno, budowali niskie murki z polnych kamieni, pomagali przy wykopkach albo grzebali tych, co zmarli poprzedniej nocy. Zimą spał w baraku wraz z około dwustoma innymi mężczyznami. Gdy tylko temperatury pozwalały, kładł się na dworze na kupie słomy. Odkąd pewnej ciepłej nocy ktoś włączył przez pomyłkę światło elektryczne, po czym z sufitu posypały się tysiące pluskiew, wolał spać pod gołym niebem.

O końcu wojny Egger dowiedział się podczas pobytu w jednej ze wspólnych latryn, gdzie siedział na desce nad kloaką, otoczony brzęczącym rojem mieniących się zielonkawo much, kiedy nagle drzwi się otworzyły, jakiś Rosjanin wetknął przez nie głowę i zaryczał:

– Hitler kaput! Hitler kaput!

Jako że Egger, nie udzielwszy odpowiedzi, siedział dalej bez ruchu, Rosjanin trzasnął drzwiami i zaśmiewając się, poszedł sobie. Jeszcze przez chwilę słychać było na zewnątrz coraz cichszy śmiech, póki nie rozległo się wycie apelowej syreny.

Nie minęły trzy tygodnie i Egger zdążył zapomnieć o euforii strażnika i własnych rozbudzonych nadziejach. Fakt, że wojna się skończyła, był wprawdzie niezaprzeczalny, jednak nie miał żadnych dostrzegalnych skutków dla życia w łagrze. Praca pozostała taka sama, jaglanka była rzadsza niż kiedykolwiek, a muchy nadal krążyły niewzruszone pod belkami sracza. Ponadto wielu jeńców uważało, że koniec wojny jest tylko chwilowy. Być może faktycznie Hitler kaput, przekonywali, ale za każdym obłąkańcem już czeka kolejny, o wiele gorszy obłąkaniec, i pozostaje jedynie kwestią czasu, kiedy wszystko zacznie się od nowa.

Pewnej niespotykanej ciepłej zimowej nocy Egger siedział owinięty w derkę przed barakiem i pisał list do swojej nieżyjącej żony Marie. Podczas uprzążania spalonej wsi znalazł niemal nietkniętą kartkę papieru oraz ogryzek ołówka i teraz pisał powoli, dużymi, chwiejnymi literami:

Kochana Marie,

piszę do Ciebie z Rosji. Tu wcale nie jest tak źle. Jest praca i coś do jedzenia, a ponieważ nie ma tu gór, nieba wzrokiem nie ogarniesz. Tylko ziąb jest straszny. To inny ziąb niż w domu. Dałbym sobie radę, gdybym miał choć jeden worek nasączony naftą, taki, jakich wtedy miałem tak wiele.

Ale nie chcę się skarżyć. Niejeden leży już w śniegu zimny i sztywny, podczas gdy ja nadal oglądam gwiazdy. Może Ty też widzisz gwiazdy. Niestety muszę już kończyć. Piszę powoli, a za wzgórzami robi się już jasno.

Twój Egger

Złożył list w jak najmniejszą kostkę i zagrzebał w ziemi u swoich stóp. Potem wziął derkę i wrócił do baraku.

Minęło prawie sześć kolejnych tygodni, nim czas Eggera w Rosji dobiegł końca. Nic nie zapowiadało wyzwolenia, jednak pewnego letniego poranka tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku spędzono więźniów na plac przed barakami, gdzie musieli rozebrać się do naga i rzucić ubrania na wielką śmierdzącą stertę. Stertę polano benzyną i podpalono, a na twarzach mężczyzn wpatrujących się w płomienie wypisany był strach przed natychmiastowym rozstrzelaniem lub czymś jeszcze gorszym. Ale Rosjanie śmiali się i gadali głośno wszyscy naraz, a gdy któryś złapał jednego z więźniów za ramię, przycisnął do siebie i z tym nagim, wychudłym widmem odtańczył groteskową rundkę wokół ognia, większości obecnych zaświtało, że ten ranek był dobrym porankiem.

Mężczyźni, przyodziani w nowe ubrania, każdy ze skibką chleba, opuścili łagier jeszcze tej samej godziny i pomaszerowali ku najbliższej stacji kolejowej. Egger wśliznął się do jednego z tylnych szeregów. Tuż przed nim szedł młody człowiek o wielkich, stale nieco wystraszonych oczach, który już na pierwszych metrach chciwymi kęsami pożarł swój chleb. Połknąwszy ostatni kawałek, odwrócił się raz jeszcze i spojrzał w stronę łagru, a ten pozostał już dobry kilometr za nimi i z trudem dało się go rozpoznać w drgającym od upału powietrzu. Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wy dobył z siebie tylko zduszony dźwięk, po czym się rozplakał. Wył i szlochał, a łzy i smarki leciały mu szerokimi strugami po brudnych policzkach. Jeden ze starszych mężczyzn, wysoki, ze strzechą siwych włosów i poirytowaną twarzą, podszedł do niego, położył mu rękę na trzęsących się ramionach i powiedział, by skończył łaskawie z tym wyciem, bo po pierwsze, nic na tym nie zyska poza przemoczonym kołnierzykiem, a po drugie, beczenie jest zaraźliwe jak denga i dżuma razem wzięte i on nie ma ochoty wracać tych kilka tysięcy kilometrów w towarzystwie skamlących bab. Ponadto rozsądniej by było zachować łzy na powrót do domu, bo tam będzie dosyć powodów do płaczu. Młody człowiek przestał szlochać, a Egger, który szedł dwa kroki za nim, długo

jeszcze sływał chrapliwe odgłosy przełykania łez i ostatnich okruchów chleba.

---

\*\*\*\* Skrócona wersja karabinu Mosina wz. 1891, który armia rosyjska, a potem radziecka powszechnie wykorzystywały aż po II wojnę światową.

\*\*\*\*\* Pod tą nazwą kryje się dzisiejszy Ługańsk położony we wschodniej Ukrainie.

**W** pierwszym okresie po powrocie w rodzinne strony Egger mieszkał w stojącej za nowo wzniesionym budynkiem szkoły drewnianej szopie, oddanej mu do dyspozycji przez gminę z życzliwym poparciem burmistrza. Burmistrz nie był już nazistą, zamiast flagi ze swastyką w oknach powiesił znowu pelargonie, a poza tym we wsi zaszło wiele innych zmian. Ulica zrobiła się szersza. Wiele razy w ciągu dnia, często nawet w krótkich odstępach, słychać było terkot silników i coraz rzadziej były to owiane smrodem i dymem dieslowe potwory w postaci starych ciężarówek. Lśniące wszystkimi kolorami automobile śmigały przez wjazd do doliny i wypluwały na głównym placu wsi wycieczkowiczów, wędrowców i narciarzy. Wielu gospodarzy wynajmowało pokoje, a z większości budynków gospodarczych znikły kury i świny. Zamiast nich w kojcach stały narty i kije i pachniało woskiem zamiast kurzym łajnem i gnojowicą. Złotej Kozicy wyrosła konkurencja. Właściciel Kozicy codziennie na nowo się denerwował na widok dopiero co wzniesionej gospody U Mitterhofera, która pyszniła się naprzeciwko pociągniętą na lipową zieleni fasadą i błyszczącym szyldem nad drzwiami wejściowymi, witającym w imię Boże. Nienawidził starego Mitterhofera. Nie mógł pojąć, jakim cudem chłop od krów wpadł nagle na pomysł, by odstawić widły do gnoju i zamiast bydła gościć u siebie turystów.

– Chłop to chłop i nigdy w życiu nie będzie karczmarzem! – twierdził, jednak w duchu musiał przyznać, że konkurencja nie tylko nie szkodziła interesom, lecz wręcz przeciwnie, ożywiła je. Gdy wreszcie pod koniec lat sześćdziesiątych zmarł jako rozkojarzony starzec, mógł zapisać w testamencie swojej jedynaczce oprócz Złotej Kozicy jeszcze trzy dalsze gospody, wiele hektarów ziemi, kręgielnię między budynkami gospodarczymi dawnego obejścia Loidoltów i udziały w dwóch wyciągach krzeselkowych, co nagle uczyniło

niezameżną i nieco zawziętą kobietę dobrze po czterdziestce jedną z najbardziej pożądaną partii w całej dolinie.

Egger przyjmował wszystkie zmiany w cichym zdumieniu. Nocami słyszał z oddali metaliczny brzęk metalowych tyczek wzdłuż stoków, które teraz nazywały się trasami zjazdowymi, a rano często budziła go wrzawa dziatwy szkolnej za ścianą w głowach jego łóżka, która to wrzawa raptownie się urywała, gdy tylko nauczyciel wkraczał do klasy. Przypomniawszy sobie własne dzieciństwo, tych kilka lat w szkole, które wówczas ciągnęły się nieskończenie długo, a teraz wydawały tak krótkie i ulotne jak mgnienie oka. W ogóle czas zbijał go z tropu. Przeszłość zdawała się zakrzywiać we wszystkie strony, a we wspomnieniach wydarzenia mieszały się ze sobą bądź też w osobliwy sposób kształtowały wciąż na nowo i nabierały odmiennej wagi. O wiele więcej czasu spędził w Rosji niż wspólnie z Marie, a przecież lata na Kaukazie i w Woroszyłowgradzie zdawały się nie trwać o wiele dłużej niż ostatnie dni z nią razem. Czas spędzony przy budowie kolei linowych skurczył się w pamięci do długości jednego sezonu, podczas gdy wydawało mu się, że pół życia spędził przewieszony przez dyszel wolego sprzężaju, ze wzrokiem wbitym w ziemię, wypinając mały, biały tyłek w wieczorne niebo.

\*

Kilka tygodni po powrocie Egger spotkał starego Kranzstockera. Siedział przed swoim obejściem na kiwającym się zydelku do dojenia krów, a Egger pozdrowił go, przechodząc. Kranzstocker podniósł powoli głowę i dobra chwila minęła, nim rozpoznał Eggera.

– To ty – rzekł skrzekliwym głosem starca. – Akurat ty!

Egger zatrzymał się i przyglądał staremu, który siedział tak zapadnięty w sobie, łypiąc na niego żółtymi oczami. Ręce, cienkie jak chrust, złożył na kolanach, usta miał na wpół otwarte i wydawał się całkowicie bezzębny. Egger

słyszał, że jego dwaj synowie nie wrócili z wojny, przez co stary próbował się powiesić na drzwiach do spizarni. Wątle drewno nie utrzymało jego ciężaru i Kranzstocker przeżył. Odtąd sędziwy bauer spędzał czas, tęsknie wyczekując śmierci. Widział śmierć przycupniętą za każdym rogiem, wieczorami zaś był pewien, że wraz z ciemnością spłynie na niego wieczny spokój. Lecz za każdym razem następnego dnia budził się ponownie, jeszcze bardziej chory, jeszcze bardziej ponury i jeszcze silniej zżerany przez śmiertelną tęsknotę.

– Chodź no tu do mnie! – powiedział, wyciągając przed siebie głowę jak kurczak. – Zobaczmy, jak wyglądasz! – Egger zrobił krok w jego stronę. Policzki starego były zapadnięte, a włosy, niegdyś lśniące czernią, zwisały mu z czaszki cienkie i białe niczym pajęczyna. – Ze mną już wkrótce będzie koniec, śmierć nikogo nie przeoczy – stwierdził. – Każdego dnia słyszę, jak już nadchodzi zza rogu, ale za każdym razem to tylko bydło sąsiadów albo pies, albo cień jakiegoś innego stworzenia, co się tu przywlokło! – Egger stał jak wrośnięty w ziemię. Przez chwilę miał uczucie, że znów jest dzieckiem, i zląkł się, że starzec wstanie i wzniesie się nad nim jak góra. – A dzisiaj to właśnie ty – ciągnął bauer. – Ktoś taki jak ty wychodzi sobie po prostu zza rogu, a inni nigdy już tu nie przyjdą. Tak to jest ze sprawiedliwością. Byłem kiedyś panem Kranzstockerem, a teraz spójrz, co ze mnie zostało: kupa spróchniałych kości, w których tli się jeszcze choć tyle życia, że nie rozpadają się na miejscu w proch i pył. Przez całe życie chodziłem z podniesioną głową, kark zginałem tylko przed Panem Bogiem i przed nikim więcej. I jak mi Pan Bóg za to dziękuje? Zabiera mi dwóch synów. Wrywa ze mnie moje własne ciało i krew. A ponieważ ciągle jeszcze nie ma dosyć, ten łotr, ponieważ ciągle jeszcze nie wycisnął ostatniej kropli życia z tak starego chłopca jak ja, więc każe mi dzień w dzień od świtu do nocy siedzieć przed gospodarstwem i czekać na śmierć. I tak siedzę sobie, mało mi tyłek nie odpadnie, a wszystko, co wychodzi zza rogu, to kilka bydła i kilka cieni, i ty, akurat ty!



Kranzstocker spojrział w dół na swoje dłonie, na swe kościste, pełne plam palce. Oddychał ciężko, rżąc z cicha. Nagle podniósł głowę. Jednocześnie poderwał rękę z kolan i złapał Eggera za przedramię.

– Teraz ci się uda! – wykrzyknął łamiącym się ze wzburzenia głosem. – Teraz możesz mnie pobić! Uderz mnie, słyszysz? Proszę cię, uderz mnie! Proszę, zatłucz mnie wreszcie na śmierć! – Egger poczuł, jak palce starca wbijają mu się niczym szpony w ramię, a w sercu uczuł lodowaty strach. Wyrwał się i zrobił krok do tyłu. Kranzstocker opuścił rękę i siedział nieruchomo, ze wzrokiem ponownie wbitym w ziemię. Egger odwrócił się i odszedł.

Gdy tak przemierzał ulicę, która kończyła się tuż za wsią, doznał osobliwego uczucia pustki w okolicy żołądka. Gdzieś głęboko w środku żał mu było starego bauera. Pomyślał o jego zydelku i życzył mu krzesła i ciepłego koca, a równocześnie życzył mu śmierci. Wszedł dalej wąską górską ścieżką aż do Pijusowej Niecki. Tu, na górze, ziemia była miękka, a trawa rosła ciemna i niska. Na czubkach źdźbeł drżały krople wody, przez co cała łąka lśniła, jakby usiana perłami. Egger dziwił się tym małym, drżącym kroplom, które tak uparcie trzymały się źdźbeł trawy, by jednak w końcu w którymś momencie spaść i wsiąknąć w ziemię albo w powietrzu rozpuścić się w nicość.

\*

Kranzstocker znalazł ukojenie dopiero wiele lat później, pewnego jesiennego dnia pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy niczym cień siedział w swojej izbie i słuchał radia. By cokolwiek zrozumieć, przewiesił się nad stołem i przycisnął lewe ucho do głośnika. Kiedy spiker zapowiedział audycję z koncertem orkiestry dętej, starzec nagle krzyknął, uderzył się kilkakrotnie pięścią w pierś i wreszcie sztywny i martwy zsunął się z krzesła, do wtóru brzękliwej muzyki.

Na pogrzebie lało jak z cebra i kondukt posuwał się bardzo powoli ulicą, tonąc po kostki w błocie. Egger, sam już w owym czasie powyżej sześćdziesiątki,

szedł w ostatnim szeregu. Myślał o bauerze, który przez całe życie razami odpędzał od siebie własne szczęście. Gdy w ulewnym deszczu przechodzili obok niewielkiej oberży urządzonej w dawnym gospodarstwie Achmandla, dobiegł stamtąd głośny i zdumiewająco czysty śmiech dziecka. Jedno z okien było uchylone i coś jasno na nim migotało. W izbie przed ogromnym telewizorem siedział synek właściciela lokalu, z twarzą tuż przy ekranie. Na czole odbijały mu się refleksy obrazów telewizyjnych, jedną ręką obejmował antenę, drugą zaś walił się ze śmiechu po udach. Śmiał się tak bardzo, że Egger dostrzegł przez strugi deszczu błyszczące kropelki śliny, rozpryskujące się na szklanym ekranie. Poczul, że ma ochotę się zatrzymać, oprzeć czoło o szybę i też się zacząć śmiać. Jednak kondukt szedł dalej, ciemny i niemy. Egger widział przed sobą, jak po uniesionych ramionach żałobników deszcz spływa wąskimi strużkami. Na samym przedzie kołysał się karawan, niczym okręt w powoli zapadającym zmierzchu, a za nimi cichł śmiech dziecka.

\*

Mimo że Egger rozważał tę sprawę kilka razy w życiu, to jednak nigdy nie kupił sobie telewizora. Zwykle nie miał pieniędzy albo miejsca, albo czasu i w ogóle uważał, że tak czy owak nie spełnia wszystkich koniecznych wymogów do tego rodzaju inwestycji. Na przykład nie był w stanie wykrzesać z siebie owej wytrwałości, z jaką większość ludzi wpatrywała się godzinami jak urzeczona w migotanie ekranu, co do którego w cichości ducha był przekonany, że może na dłuższą metę zamącić wzrok i rozmiękczyć mózg. A jednak telewizja podarowała mu dwie olśniewające chwile, które później stale wygrzebywał z zakamarków pamięci i przypatrywał im się z rozkosznym wstrząsem przypomnienia. Pierwszą z nich przeżył pewnego wieczoru na zapleczu Złotej Kozicy, gdzie od jakiegoś czasu stał nowiutki jak spod igły odbiornik telewizyjny marki Imperial. Egger już od miesiący nie bywał w gospodzie, stąd

też poczuł się zaskoczony, gdy u wejścia zamiast zwykłego pogwaru restauracyjnej sali dobiegły go nieco metaliczne i podbite lekkim szumem głosy z telewizora. Przeszedł do pomieszczenia na tyłach, gdzie siedem czy osiem osób siedziało przy stołach i jak urzeczony wpatrywało się nieruchomym wzrokiem w urządzenie wielkości szafy. Po raz pierwszy w życiu Egger zobaczył z tak bliska obrazy telewizyjne. Z magiczną oczywistością przesuwały mu się przed oczami i do dusznej sali na tyłach gospody wносиły świat, o jakim do tej pory nie miał najbledszego pojęcia. Widział wąskie, wysoko wznoszące się domy, których dachy sterczały w niebo niczym odwrócone sople lodu. Z okien sypała się zawieja papierowych ścinków, a ludzie na ulicach śmiali się, krzyczeli, ciskali w górę kapelusze i w ogóle wyglądali, jakby zwariowali z radości. Zanim Egger zdołał ogarnąć to wszystko, ekran telewizora jakby rozerwała bezgłośnie eksplozja, ale już ułamek sekundy później scalił się na powrót w całkowicie nową scenę. Na kilku drewnianych ławach siedzieli mężczyźni w koszulach z krótkim rękawem i w roboczych kombinezonach i przyglądali się ciemnoskórej, może dziesięcioletniej dziewczynce, która klęczała w klatce i czochrała po grzywie rozciągniętego przed nią lwa. Zwierzę ziewnęło i można było zajrzeć mu w paszczę poprzetykaną nitkami śliny. Publiczność biła brawo, dziewczynka przytuliła się do lwa i przez chwilę wydawało się, że zniknęła w jego grzywie. Egger roześmiał się. Przemawiało przez niego zakłopotanie, bo nie miał pojęcia, jak należy się zachować przed telewizorem w towarzystwie innych osób. Wstydził się swojej niewiedzy. Czuł się jak dziecko, przyglądające się niepojętym przedsięwzięciom dorosłych: wszystko było w jakiś sposób interesujące, ale jego osobiście zdawało się nie dotyczyć.

I wtedy zobaczył coś, co poruszyło go do głębi serca. Z samolotu wysiadła młoda kobieta. To nie była pierwsza lepsza kobieta po prostu zbiegająca po wąskim trapie na płytę lotniska, to była najpiękniejsza istota, jaką Egger widział w życiu. Nazywała się Grace Kelly, jej nazwisko brzmiało dlań obco i niezwykle,

a zarazem wydawało się jedynym, jakie mogłoby do niej pasować. Ubrana w krótki płaszczyk pomachała do stłoczonej gromady ludzi zebranych na lotnisku. Grupa reporterów rzuciła się ku niej, a gdy odpowiadała na ich wyrzucane w zawrotnym tempie pytania, słoneczny blask przelewał się przez jej jasne włosy i wąską, gładką szyję. Eggera dreszcz przeszedł na myśl, że te włosy i ta szyja nie były li tylko wytworem fantazji, lecz że gdzieś na świecie być może istniał ktoś, kto dotykał ich palcami lub może nawet gładził je całą dłonią. Grace Kelly pomachała jeszcze raz, śmiejąc się przy tym szeroko otwartymi, ciemnymi ustami. Egger wstał i wyszedł z gospody. Przez chwilę błąkał się bez celu po uliczkach we wsi, póki wreszcie nie przysiadł na schodach u wejścia do kaplicy. Patrzył na ziemię wydeptaną przez niezliczone pokolenia grzeszników i czekał, aż serce na powrót mu się uspokoi. Uśmiech Grace Kelly i smutek czający się w jej oczach wzburzyły jego duszę do głębi i nie rozumiał, co się z nim dzieje. Długi czas tak siedział, póki w którymś momencie po zapadnięciu ciemności nie uświadomił sobie, jak jest zimno, i nie poszedł do domu.

To był koniec lat pięćdziesiątych. Dopiero o wiele później, mianowicie latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, Egger przeżył kolejne, choć olśniewające w kompletnie inny sposób doświadczenie z telewizją, która w owym czasie stanowiła już centrum, wokół którego toczyło się życie większości gospodarstw domowych, i główny sens wieczornych spotkań rodzinnych. Tym razem siedział wspólnie z prawie stu pięćdziesięcioma mieszkańcami wsi w sali zebrań nowego domu gminnego i patrzył, jak dwóch młodych Amerykanów po raz pierwszy kroczy po Księżycu. W trakcie niemal całej transmisji w sali panowała napięta cisza, jednak ledwie Neil Armstrong postawił stopę na pylistej glebie Księżyca, wybuchł zbiorowy entuzjazm i wydawało się, że jakiś ciężar przynajmniej na parę chwil spadł ze zwalistych ramion bauerów. Później było darmowe piwo dla dorosłych i sok z pączkami dla dzieci, a jeden z członków rady gminy wygłosił krótkie przemówienie

o niebywałych wysiłkach, które teraz umożliwiły takie cuda, a prawdopodobnie pchną jeszcze ludzkość ku kto to może wiedzieć czemu. Egger bił brawo jak wszyscy i gdy z przodu sali w telewizorze nadal przewijały się widmowe postacie Amerykanów, którzy właśnie w tym momencie niepojętym trafem spacerowali wysoko ponad ich głowami na powierzchni Księżyca, on poczuł tajemniczą bliskość i więź z mieszkańcami wsi, tu, na Ziemi, w zaciemnionej sali ciągle jeszcze pachnącego świeżą zaprawą murarską domu gminnego.

\*

Jeszcze tego samego dnia, w którym powrócił z Rosji, Egger wybrał się do obozowiska firmy Bittermann i Synowie. Gdyby wcześniej kogoś zapytał, mógłby sobie oszczędzić spaceru. Baraki znikły. Obozowisko zlikwidowano. Jeszcze porozrzucane tu i tam kleksy betonu lub zarośnięta chwastami drewniana belka wskazywały na to, że kiedyś żyli tu i pracowali ludzie. W miejscu gdzie prokurent siedział za swoim biurkiem, kwitły dziś małe białe kwiatki.

We wsi Egger dowiedział się, że przedsiębiorstwo splajtowało tuż po zakończeniu wojny. Już rok wcześniej odwołano ostatnich robotników, bo firma posłuchała iście desperackiego w owym czasie wezwania Vaterlandu i przestawiła produkcję ze stalowych dźwigarów i wciągarek linowych z podwójną liną na broń. Stary Bittermann, żarliwy patriota, który już podczas pierwszej wojny zostawił przedramię i odprysk swej prawej kości jarzmowej w okopie na froncie zachodnim, kładł szczególny nacisk na wytwarzanie luf karabinów i przegubów kulowych do dział szturmowych. Przeguby były w porządku, jednakże część magazynków odkształciła się podczas upałów, co spowodowało kilka straszliwych wypadków na froncie, a starego Bittermanna doprowadziło ostatecznie do przekonania, że ponosi niemałą współodpowiedzialność za przegraną wojnę. Zastrzelił się w lasku za swoim domem, dla pewności ze starej broni myśliwskiej swojego ojca. Gdy leśniczy znalazł jego zwłoki pod

pokrzywioną dziką jabłonką, z roztrzaskanej czaszki zaślśniła ku niemu metalowa płytką z wygrawerowaną datą „23.11.1917”.

Kolejki linowe budowały i obsługiwały teraz inne spółki, jednak wszędzie, gdzie Egger się zgłaszał, odsyłano go z kwitkiem. Tłumaczono, że już niezbyt się do tego nadaje. Kilka powojennych lat wystarczyło, by wiele z dawnych metod pracy się zestarzało, toteż dla takich jak on nie było już niestety miejsca w świecie nowoczesnej techniki komunikacyjnej.

W domu Egger siadał wieczorami na brzegu łóżka i oglądał swoje dłonie. Leżały na jego kolanach ciężkie i ciemne niczym ziemia torfowa. Skóra była gruba jak rzemień i przeorana zmarszczkami jak skóra zwierzęcia. Wiele lat w polu i w lesie pozostawiło blizny, a każdziuteńka z tych blizn mogłaby opowiedzieć o jakimś nieszczęśliwym wypadku, o trudach lub udanych przedsięwzięciach, gdyby tylko Egger mógł sobie przypomnieć ich historie. Od tamtej nocy, kiedy starał się wykopać Marie ze śniegu, jego paznokcie zrobiły się łamliwe i wrosły w palce. Paznokieć jednego z kciuków był czarny i miał pośrodku niewielkie wgłębienie. Egger uniósł dłonie do twarzy i przyjrzał się uważnie skórze na ich grzbietach, która w wielu miejscach wyglądała jak zmięty len. Widział odciski na palcach i węzłaste zgrubienia na kostkach. W rowkach i szparach osadził się brud, któremu nie dawały rady ani końska szczotka, ani szare mydło. Egger widział, jak żyły rysują mu się pod skórą, a gdy podniósł ręce ku wpadającej przez okno szarówce, dostrzegł, że leciutko drżą. To były ręce starego człowieka, a on pozwolił im opaść.

\*

Przez jakiś czas Egger żył z państwowej odprawy dla powracających weteranów wojennych. Jednak pieniądze wystarczały zaledwie na najskromniejsze przeżycie, czuł się zatem zmuszony, jak kiedyś jako młody chłopak, do przyjmowania wszelkich okazjonalnych robót, jakie się tylko trafiły.

Znów czołgał się po piwnicach i po sianie, dźwigał worki z ziemniakami, harował na polu lub wyrzucał gnój z kilku pozostałych jeszcze obór i chlewików. Wciąż mógł dotrzymać kroku młodszym kolegom, a w niektóre dni kazał sobie łądować na plecy imponujący trzymetrowy stóg i powoli, chwiejnym krokiem schodził z nim ze stromych pastwisk. Jednak wieczorem padał na łóżko przekonany, że już nigdy nie podniesie się z niego o własnych siłach. Stracił już niemal zupełnie czucie w kolanie wykręconej nogi, a za każdym razem, gdy obracał głowę na bok choćby o centymetr, kark przeszywał mu kłujący ból i niczym płonąca struna przenikał go aż po czubki palców, co zmuszało go do leżenia na wznak i czekania na sen w całkowitym bezruchu.

Pewnego letniego poranka w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym Egger wygramolił się z łóżka na długo przed wschodem słońca i wyszedł na dwór. Bóle wybiły go ze snu, a ruch w chłodnym, nocnym powietrzu dobrze mu robił. Szedł kozią percią wzdłuż rysujących się miękko w świetle księżyca łuków gminnych hal, okrążył oba głązy, które sterczały niczym grzbiety śpiących zwierząt, i wreszcie po niemal godzinnej wspinaczce po coraz bardziej nieprzystępnym terenie między skalnymi formacjami dotarł pod Przepastny Szczyt. Wstawał już dzień i w oddali rozjarzyły się okryte śniegiem wierzchołki. Egger właśnie chciał usiąść, by składanym nożem odciąć oderwany kawałek skórzanej podeszwy, gdy zza skały wyłonił się stary mężczyzna i z otwartymi ramionami ruszył ku niemu.

– Mój drogi, drogi panie! – wykrzyknął. – Jest pan prawdziwym człowiekiem, prawda?

– Myślę, że tak – odparł Egger, widząc jak zza skały, potykając się, wynurza się druga postać, stara kobieta. Oboje wyglądali żałośnie, zdezorientowani i drżący z wyczerpania i zimna.

Mężczyzna, który zamierzał rzucić się Eggerowi w objęcia, zobaczył nóż w jego dłoni i zatrzymał się.

– Nie zamierza nas pan zabić, co? – zapytał przerażony.

– Boże na niebiosach, bądź nam miłościwy – wymruczała kobieta za nim.

Egger bez słowa schował nóż i spojrział w twarze obojga starych ludzi, którzy wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Mój drogi panie – powtórzył mężczyzna i wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem. – Przez całą noc błądzimy po tej okolicy, gdzie nie ma nic prócz kamieni!

– Nic prócz kamieni! – zawtórowała kobieta.

– Więcej kamieni niż gwiazd na niebie!

– Boże na niebiosach, bądź nam miłościwy!

– Zabłądziliśmy.

– Gdzie nie spojrzeć, ciemna, zimna noc!

– I kamienie! – dodał stary mężczyzna i teraz w jego oczach pojawiło się naprawdę kilka łez, które jedna za drugą spłynęły mu po policzku i szyi. Jego towarzyszka wpatrywała się błagalnie w Eggera.

– Mój mąż chciał się już położyć i umrzeć.

– Nazywamy się Roskovics – powiedział starszek – i jesteśmy małżeństwem od czterdziestu ośmiu lat. To prawie pół wieku. Wtedy już wiadomo, kim się dla siebie jest i po co się dla siebie jest, rozumie pan, mój panie?

– Niezupełnie – odparł Egger. – A poza tym nie jestem panem. Ale jeśli państwo chcą, mogę państwa sprowadzić na dół.

Gdy doszli do wsi, pan Roskovics chciał koniecznie zamknąć w uścisku wzdragającego się Eggera.

– Dziękuję! – rzekł wzruszony.

– Tak, dziękuję! – powtórzyła żona.

– Dziękuję! Dziękuję!

– Nie ma za co – powiedział Egger i cofnął się o krok. W powrotnej drodze



z Przepastnego Szczytu lęk i rozpacz obojga szybko znikły, a gdy pierwsze promienie słońca rozgrzały im twarze, ich zmęczenie nagle też się gdzieś rozplynęło. Egger pokazał im, jak można spijać poranną rosę z górskich traw, by ugasić pragnienie, a oni niemal przez cały czas, maszerując za nim, paplali jak dzieci.

– Chcieliśmy pana zapytać – mówił Roskovics – czy nie mógłby nam pan pokazać paru szlaków. Widać, że się pan orientuje w okolicy niczym we własnym ogródku.

– Dla nas taka wyprawa w góry to nie jest bynajmniej spacer! – zawtórowała żona.

– Tylko przez kilka dni. Po prostu wejdziemy na górę i zejdziemy z powrotem. O zapłatę niech się pan nie kłopotuje, przecież nie chcemy, żeby o nas źle mówiono. No to jak by to wyglądało?

Egger zastanowił się nad nadchodzącymi dniami. Trzeba było porąbać kilka kubików drewna opałowego i na nowo zaorać osunięte wskutek deszczu kartoflisko. Ze zgrozą pomyślał o swych dłoniach trzymających uchwyty pługa, które po kilku godzinach zaczynały płonąć pod palcami, bo nawet najtwardsze odciski nie były tu żadną ochroną.

– Tak – odparł. – To by się dało zrobić.

Przez cały tydzień Egger prowadził oboje starych ludzi po coraz trudniejszych drogach i pokazywał im uroki okolicy. Praca ta sprawiała mu radość. Wędrowanie w terenie przychodziło mu z łatwością, a górskie powietrze wypędzało ponure myśli z głowy. Ponadto jak na jego gust rozmów było przyjemnie mało, z jednej strony dlatego, że tak czy owak niewiele było do omawiania, z drugiej zaś, bo para idąca za nim zbyt kurczowo łapała oddech, by jeszcze wyrywać zbędne słowa z cicho gwizdzących płuc.

Po upływie tygodnia małżeństwo wylewnie się pożegnało, a pan Roskovics wetknął Eggerowi do kieszeni kurtki parę banknotów. I on, i jego żona mieli

mokre oczy, gdy wreszcie wsiedli do samochodu i zamgloną jeszcze o poranku ulicą oddalili się w kierunku rodzinnych stron.

Eggerowi spodobało się nowe zajęcie. Wraz z samodzielnie wymalowaną tablicą, która jego zdaniem zawierała niezbędne informacje i była zarazem na tyle interesująca, by pozyskać chętnych na jego usługi turystów, ustawił się tuż obok studni na głównym placu we wsi i czekał.

JEŚLI LUBIĄ PAŃSTWO GÓRY  
DOBRZEŚCIE TRAFILI.

Oferuję (z doświadczeniem praktycznie całego życia na łonie natury)

Wędrówki z plecakiem i bez

Wycieczki (pół dnia i całodniowe)

Wspinaczki

Spacery po górach (dla starszych państwa, osób ułomnych i dzieci)

Wycieczki o każdej porze roku (jeśli pogoda odpowiednia)

Gwarantowane wschody słońca dla rannych ptaszków

Gwarantowane zachody słońca (tylko w dolinie, bo na górze jest zbyt niebezpiecznie)

Najmniejszego zagrożenia dla duszy i ciała!

(CENA JEST DO NEGOCJACJI,  
ALE NIEDROGO)

Tablica najwyraźniej robiła wrażenie, bo interesy szły dobrze od samego początku, tak że Egger nie widział powodu, by znowu jak kiedyś najmować się

jako parobek. Jak dawniej często wstawał jeszcze po ciemku, tylko że teraz zamiast na pole szedł wysoko w góry i przyglądał się wschodzącemu słońcu. W blasku jego pierwszych promieni twarze turystów wyglądały jak rozświetlone od środka i Egger widział, że byli szczęśliwi.

Latem jego wyprawy często prowadziły daleko poza najbliższe górskie granie, zimą natomiast ograniczały się przeważnie do krótszych, lecz za sprawą szerokich rakiet śnieżnych niewiele mniej wyczerpujących spacerów. Zawsze szedł przodem, mając ewentualne niebezpieczeństwa na oku i czując sapanie turystów na plecach. Lubił tych ludzi, nawet jeśli niektórzy z nich próbowali tłumaczyć mu świat bądź w jakiś inny sposób idiotycznie się zachowywali. Wiedział, że najpóźniej podczas dwugodzinnego podejścia na górę ich arogancja wyparuje razem z potem na zgrzanych głowach, póki nie zostanie nic poza wdzięcznością, że udało im się tego dokonać, i zmęczeniem do szpiku kości.

Czasami przechodził obok swego dawnego kawałka ziemi. Tam, gdzie kiedyś stał jego dom, piarg ułożył się przez lata w rodzaj wału. Między skalnymi okruchami błyskały latem białe maki, a zimą dzieci skakały przez niego na nartach. Egger mógł się przyglądać, jak śmigały w dół stoku, odbijały się z radosnym okrzykiem i przez chwilę płynęły w powietrzu, zanim zręcznie nie wylądowały lub też nie potoczyły się jak kolorowe kłęбки po śniegu. Myślał o progu domu, na którym razem z Marie siadywali przez tak wiele wieczorów, i o furtce zamykanej na zwykły haczyk, który wygiął z długiego stalowego gwoźdźca. Po lawinie furtka po prostu znikła, jak wiele innych rzeczy, które po roztopach nie pojawiły się z powrotem. Przepadły, jakby nigdy nie istniały. Egger czuł, jak smutek wzbiera w jego sercu. Uważał, że tyle jeszcze było do zrobienia w ich życiu, prawdopodobnie o wiele więcej, niż mógł sobie wyobrazić.

Podczas wypraw Egger przeważnie milczał. „Kto otwiera gębę, ten zamyka uszy”, powiadał zawsze Thomas Matzl, a Egger podzielał tę opinię. Zamiast

mówić, wolał przysłuchiwać się ludziom, których nieprzerwana paplanina wtajemniczała go w obce dzieje i poglądy. Najwyraźniej ludzie szukali w górach czegoś, o czym sądzili, że zgubili to dawno, dawno temu. Nigdy się nie domyślił, o co tu dokładnie chodziło, jednak w miarę upływu lat był coraz bardziej przekonany, że turyści w gruncie rzeczy kuśtykali nie tyle za nim, co za jakąś nieznaną, nienasyconą tęsknotą.

Pewnego razu podczas krótkiego przystanku pod Kopą Dwudziestą trzęsący się z przejścia młody chłopak złapał Eggera za ramiona i wykrzyczał na cały głos:

– Nie widzi pan, jakie to tu wszystko jest piękne!

Egger spojrział w wykrzywioną szczęściem twarz i powiedział:

– Zgadza się, ale za chwilę będzie padać, a jeśli ziemia zacznie się osuwać, to koniec z tym całym pięknem.

Tylko jeden jedyny raz podczas swej działalności jako przewodnik górski Egger omal nie stracił turysty. Zdarzyło się to w wiosenny dzień gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych, w nocy raz jeszcze wróciła zima, a Egger chciał przejść z małą grupą panoramiczną trasą powyżej nowego czteroosobowego wyciągu krzeselkowego. Gdy przechodzili kładką nad Wąwozem Zagrodnika, pewna gruba kobieta pośliznęła się na mokrym drewnie i straciła równowagę. Egger, który szedł tuż przed nią, dostrzegł kątem oka, jak macha rękoma i unosi jedną nogę, jakby coś pociągnęło ją w górę na niewidzialnym sznurze. Pod kładką ziała dwudziestometrowa przepaść. Rzucając się ku kobiecie, widział jej twarz, która niby zdjeta głęboką bojaźnią coraz bardziej się odchyłała. Usłyszał skrzypnięcie drewna, kiedy turystka uderzyła weń plecami. W ostatniej chwili, nim ześliznęła się w otchłań, złapał ją jedną ręką za kostkę i choć był zaskoczony niezwykle miękkim ciałem pod palcami, zdołał uchwycić ją drugą ręką za ramię i wciągnąć z powrotem na kładkę, gdzie pozostała nieruchoma, zdając się ze zdziwieniem wpatrywać w obłoki.

– O mały włos, a źle by się to skończyło, prawda? – powiedziała.

Ujęła przy tym dłoń Eggera, przyłożyła sobie do policzka i uśmiechnęła się do niego. Egger kiwnął głową przestraszony. Skóra jej policzka była wilgotna. Pod dłonią czuł niemal niedostrzegalne drżenie i ten dotyk wydał mu się jakoś nieprzyzwoity. Przypomniało mu się przeżycie z dzieciństwa. Mógł mieć wtedy z jedenaście lat, bauer wyciągnął go w środku nocy z łóżka, żeby pomógł przy narodzinach cielaka. Krowa męczyła się już od wielu godzin, krążyła niespokojnie i tarła sobie do krwi pysk o ścianę. W końcu wydała z siebie głuche stęknienie i położyła się na boku na słomie. W migocącym świetle lampy naftowej mały Egger widział, jak przewraca oczami i jak z jej szpary wypływa gęsty śluz. Gdy pojawiły się przednie nóżki cielęcia, bauer, który cały czas siedział w milczeniu na stołku, wstał i zakasał wysoko rękawy. Ale cielę się nie poruszało, a krowa leżała spokojnie. Nagle uniosła głowę i zaczęła ryczeć. To był dźwięk, który przeszył serce Eggera lodowatym strachem.

– No to koniec! – rzucił bauer i razem wyszarпали martwe cielę z ciała matki. Egger złapał je za szyję. Sierść miało miękką i wilgotną i przez krótką chwilę miał wrażenie, że czuje tętno, pojedyncze uderzenie pod palcami. Wstrzymał oddech, jednak nic więcej się nie wydarzyło, a bauer wyniósł wiotkie ciało na dwór. Na zewnątrz szarzał już świt, mały Egger stał w oborze, czyścił podłogę, wycierał krowie sierść słomą i rozmyślał o cielaku, którego życie trwało tylko jedno uderzenie serca.

Gruba kobieta uśmiechnęła się.

– Sądzę, że wszystko jest na swoim miejscu – powiedziała. – Tylko udo trochę mnie boli. Teraz będziemy mogli razem pokuśtykać do doliny.

– O, nie – odparł Egger i wstał. – Każdy kuśtyka na własny rachunek!

\*

Po śmierci Marie Egger przenosił wprawdzie od czasu do czasu niezdarne

turystki przez górski potok bądź też przeciągał je za rękę przez śliską, skalistą grań, jednak poza tym nie dotknął żadnej kobiety, chyba że mimochodem. Wystarczająco ciężkim zadaniem było jakie takie urządzenie sobie życia na nowo i w żadnym wypadku nie chciał znów stracić spokoju, który w miarę upływu lat stopniowo go ogarniał. W gruncie rzeczy niemal wcale nie rozumiał Marie, a już wszystkie inne kobiety były dla niego prawdziwą zagadką. Nie wiedział, czego chciały lub nie chciały, a wiele z tego, co mówiły i czyniły w jego obecności, zbijało go z tropu, wprawiało we wściekłość lub przyprawiało o rodzaj wewnętrznego stuporu, z którego z trudem się wydostawał. Kiedyś pod Złotą Kozicą pewna robotnica sezonowa przycisnęła się do niego swym ciężkim, pachnącym kuchnią ciałem i wszeptła mu do ucha kilka mokrych słów, które do tego stopnia go wzburzyły, że nie zapłaciwszy za zupę, wypadł z gospody i przez pół nocy brnął przez zamarznięte stoki, żeby się uspokoić.

Takie chwile zawsze potrafiły wstrząsnąć jego duszą, lecz z każdym rokiem były rzadsze, aż wreszcie kompletnie ustały. On sam nie czuł się z tego powodu nieszczęśliwy. Zaznał miłości i ją utracił. Odtąd nic podobnego już mu się nie przydarzy, uważał to za pewnik. A walka z pożądanym, jakie stałe i wciąż na nowo w nim wzbierało, była walką, którą aż do końca zamierzał rozegrać wyłącznie sam ze sobą.

Na początku lat siedemdziesiątych Andreas Egger przeżył jednak raz jeszcze przygodę, która przynajmniej na krótki okres kilku jesiennych dni stanęła na przeszkodzie jego pragnieniu, by samotnie spędzić resztę życia. W tamtym czasie zauważył, że zmienił się nastrój w klasie za ścianą przy jego łóżku. Zwyczajny dziecięcy harmider nasilił się, a entuzjazm, jaki wybuchał na dźwięk zawsze witanego szaloną wrzawą dzwonka na przerwę, przekraczał teraz wszelką miarę. Przyczyną tej świeżo uzyskanej, hałaśliwej pewności siebie uczniów bez wątpienia było odejście na emeryturę wiejskiego nauczyciela, który spędził większość życia na wbijaniu pokoleniom bauerskich dzieci w tępe, rzadko kiedy

sięgające myślą poza bieżącą chwilę głowy choćby najbardziej elementarnych podstaw czytania i rachunków, w razie potrzeby za pomocą własnoręcznie sporządzonej dyscypliny z wolego ogona. Stary nauczyciel otworzył po swojej ostatniej lekcji okno, opróżnił pudełko z resztkami kredy na różaną rabatę i jeszcze tego samego dnia znikł ze wsi, co wstrząsnęło członkami rady gminnej, przede wszystkim dlatego, że tak prędko nie byli w stanie znaleźć następcy chętnego na rozwijanie kariery między stadami krów i narciarzy. Rozwiązanie problemu objawiło się w postaci Anny Holler, od lat już pozostającej na emeryturze nauczycielki z sąsiedniej doliny, która z cichą wdzięcznością przyjęła ofertę tymczasowego prowadzenia lekcji. Anna Holler miała inne wyobrażenia o wychowaniu niż jej poprzednik, pokładała ufność w organicznych siłach rozwoju dzieci i powiesiła stary woli ogon na zewnątrz, na murze szkoły, gdzie przez lata niszczał i służył dzikiemu bluszczowi za podpórkę.

Eggerowi natomiast nowomodna pedagogika zdecydowanie nie odpowiadała. Pewnego ranka wstał i udał się na drugą stronę.

– Przepraszam panią, ale jest za głośno. Człowiek potrzebuje w końcu chwili spokoju.

– Kim pan jest, na Boga?

– Nazywam się Egger i mieszkam tu obok. Moje łóżko stoi gdzieś tutaj, zaraz za tablicą.

Nauczycielka zrobiła krok w jego stronę. Była od niego co najmniej o półtorej głowy niższa, jednak za plecami miała dzieci, które wlepiły wzrok w Eggera ze swoich ławek, i przez to sprawiała wrażenie groźnej i nieskłonnej pójść na jakikolwiek kompromis. Chętnie powiedziałby coś jeszcze, lecz zamiast tego wpatrywał się niemo w linoleum. Naraz sam sobie wydał się głupcem, gdy tak stał: stary mężczyzna z żalnymi pretensjami, na którego nawet małe dzieci mogły się gapić z nieskrywanym zdumieniem.

– Sąsiadów sobie nie wybieramy – powiedziała nauczycielka. – Ale jedno

jest pewne: jest pan nieokrzesanym gburem! Wparował pan w sam środek mojej lekcji, nieumyty, nieuczesany, nieogolony i do tego jeszcze w majtkach czy co to ma być, to co pan tam ma na sobie.

– To pizama – wymruczał Egger, który już gorzko żałował, że w ogóle tu przyszedł. – Ma tylko parę lat.

Anna Holler westchnęła.

– Proszę natychmiast opuścić moją klasę – poleciła. – A kiedy pan się już umyje, ogoli i porządnie ubierze, wtedy proszę bardzo, może pan wrócić!

Egger nie wrócił. Pogodził się z hałasem lub w razie czego wtykał sobie mech do uszu i w ten sposób załatwiał sprawę. I prawdopodobnie na tym rzecz by się zakończyła, gdyby następnej niedzieli ktoś nie zapukał głośno trzy razy do jego drzwi. Za nimi stała Anna Holler, trzymając w rękach ciasto.

– Pomyślałam, że przyniosę panu coś do jedzenia – powiedziała. – Gdzie jest stół?

Egger zaofiarował jej jedyne miejsce siedzące, samodzielnie przez niego zbity zydeł, i postawił ciasto na starej drewnianej skrzyni, w której z tajonego strachu przed złymi czasami przechowywał kilka puszek konserw – „Najlepszej wołowiny duszonej z cebulą Haggemeyera” – oraz parę ciepłych butów.

– Takie ciasto często bywa suche – stwierdził i ruszył z glinianym dzbanem do studni na wioskowym placu, myśląc o kobiecie, która właśnie siedziała w jego pokoju i czekała, by pokroić placek. Przypuszczał, że nauczycielka pewnie jest w jego wieku, ale wiele lat pracy w szkole wyraźnie dało jej się we znaki. Twarz miała usianą drobnuteńkimi zmarszczkami, a u spodu ciemnego, ciasno związanego koka prześwitywały śnieżnobiałe odrosty. Przez chwilę okiem duszy ujrzał osobliwy obraz: widział ją nie tylko jak siedzi na jego stołeczku i po prostu czeka, lecz miał zarazem wrażenie, że sama jej obecność odmieniła, powiększyła pokój, w którym od tylu lat mieszkał samotnie, w jakiś nieprzyjemny sposób otworzyła go na przestrzał.



– A więc tu pan mieszka – powiedziała nauczycielka, gdy wrócił z dzbanem napełnionym wodą.

– Tak – odparł.

– W końcu wszędzie można być szczęśliwym – stwierdziła.

Miała ciemnobrązowe brwi i ciepłe, przyjazne spojrzenie, jednak Egger czuł się nieswojo, gdy tak mu się przyglądała. Spojrzał na swój kawałek ciasta, palcem wskazującym wydłubał rodzynka i niepostrzeżenie zrzucił go na podłogę. Potem zabrali się do jedzenia i musiał przyznać, że ciasto było smaczne. Prawdopodobnie, uznał, to ciasto było nawet lepsze od wszystkiego, co jadł w ostatnich latach. Ale to wolał zachować dla siebie.

Później Egger nie umiałby już powiedzieć, jak to się stało, że cała historia potoczyła się tak, a nie inaczej. Nauczycielka Anna Holler wkroczyła w jego życie z taką samą oczywistością, z jaką stanęła przed jego drzwiami z ciastem w rękach, i w mig zawłaszczyła sobie w tym życiu miejsce, co do którego najwyraźniej była zdania, że należy do niej. Egger nie wiedział, co się dzieje, ponadto nie chciał być nieuprzejmy, więc chodził z nią na spacerów lub siedział koło niej na słońcu i popijał kawę, którą zawsze przynosiła w termosie i o której mawiała, że jest czarniejsza od duszy szatana. Anna Holler stale miała na podorędziu takie porównania, zresztą w ogóle mówiła bez przerwy, opowiadała o szkole, o dzieciach, o swoim życiu, o tym mężczyźnie, który dawno już dostał to, na co zasłużył, i któremu nigdy, nigdy, nigdy nie powinna była wierzyć. Niekiedy mówiła coś, czego Egger nie rozumiał. Używała słów, jakich nigdy jeszcze nie słyszał i nawet skrycie uważał, że po prostu je wymyślała, gdy akurat zabrakło jej tych właściwych. Pozwalał jej mówić. Słuchał, od czasu do czasu kiwał głową, niekiedy mówił „tak” albo „nie” i popijał kawę, od której dostawał takiego kołatania serca, jakby wspinał się na północną ścianę Wielkiego Szafarza.

Pewnego dnia namówiła go, żeby wjechali Błękitną Lizą na szczyt Karleitnera. Można stamtąd, stwierdziła, ogarnąć wzrokiem wieś w całej jej

okazałości, szkoła wygląda jak zgubione pudełko zapalek, a gdy się zmrzy oczy, można zobaczyć dzieci przy wiejskiej studni jak kolorowe punkciki.

Gdy gondola ruszyła z lekkim szarpnięciem, Egger ustawił się przy jednym z okien. Poczuł, że nauczycielka stoi tuż za nim i patrzy mu przez ramię. Pomyślał, że nie prał kurtki od wielu lat. Ale przynajmniej w zeszłym tygodniu zamoczył spodnie na pół godziny w przejrzystej źródlanej wodzie, a potem wysuszył na nagrzanej słońcem skale.

– Widzi pani ten dźwigar tam na dole? – zapytał. – Gdy wylewaliśmy fundamenty, jeden z robotników tam wleciał. Za dużo wypił poprzedniego dnia i w południe się przewrócił. Tak po prostu twarzą w beton. Leżał i się nie ruszał. Jak martwa ryba w stawie. Chwilę potrwało, zanim go wyciągnęliśmy, beton zdążył już trochę zgęstnieć. Ale dał radę. Tylko od tamtej pory jest ślepy na jedno oko. Trudno powiedzieć, czy to od betonu, czy od ziołowej wódki.

Po przybyciu na górę stali chwilę na platformie i patrzyli na dolinę. Egger uznał, że chyba powinien jakoś zabawić nauczycielkę, pokazywał jej więc rozmaite rzeczy we wsi: resztki spalonej obory, zbudowane pospiesznie na polu buraków osiedle domków letniskowych, olbrzymi, przeżarty rdzą i przerośnięty purpurowym szczodrzeńcem kocioł, który strzelcy górscy po zakończeniu wojny porzucili za kaplicą i który dzieci wykorzystywały do zabawy w chowanego. Anna Holler śmiała się za każdym razem, gdy odkrywała coś nowego. Czasami wiatr całkowicie tłumiał jej śmiech i wyglądało to tak, jakby po prostu bezgłośnie promieniowała radością.

Gdy wczesnym wieczorem ponownie dotarli na dolną stację, stanęli na krótką chwilę obok siebie i przyglądali się, jak gondola ponownie rusza na górę. Egger nie wiedział, co powinien powiedzieć ani czy w ogóle powinien coś powiedzieć, zatem na wszelki wypadek się nie odzywał. Z maszynowni w suterenie budynku dobiegał słumiony szum silników. Egger poczuł na sobie wzrok nauczycielki.

– Chciałabym, żeby odprowadził mnie pan do domu – rzekła i ruszyła przed

siebie.

Mieszkała tuż za ratuszem, w niewielkim pokoiku, który gmina oddała jej do dyspozycji na czas pełnienia zastępstwa w szkole. Teraz na talerzu leżało tam przygotowanych kilka kromek chleba ze smalcem i cebulą, a za oknem, na parapecie, stały dwie zimne butelki piwa. Egger zjadł chleb i wypił piwo, starając się przy tym nie patrzeć na nauczycielkę.

– Jest pan mężczyzną – oznajmiła. – Prawdziwym mężczyzną z prawdziwym apetytem, prawda?

– Możliwe – odparł i wzruszył ramionami.

Na dworze powoli zapadał zmrok, wstała i przeszła kilka kroków przez pokój. Zatrzymała się przed niewielką komódką. Egger widział z tyłu, jak pochyliła głowę, jak gdyby zgubiła coś na podłodze. Palcami bawiła się rąbkiem spódnicy. Na obcasach ciągle jeszcze miała przyklejoną ziemię i kurz. W pokoju było przeraźliwie cicho. Było tak, jak gdyby cisza, która dawno wycofała się ze wszystkich dolin, zebrała się w tej właśnie chwili w tym niewielkim pokoiku. Egger odchrząknął. Odstawił butelkę i przypatrywał się kropli powoli ściekającej po szkle i rozplywającej się na obrusie w okrągłą, ciemną plamę. Przed komódką stała Anna Holler, nieruchoma, z opuszczonym wzrokiem. Podniosła najpierw głowę, a potem rękę.

– Człowiek jest często samotny na tym świecie – powiedziała.

Potem się odwróciła. Zapaliła dwie świece i postawiła na stole. Zaciągnęła zasłony. Zasunęła zasuwę na drzwiach.

– No, chodź – rzuciła.

Egger nadal wbijał spojrzenie w ciemną plamę na obrusie.

– Byłem tylko z jedną kobietą – powiedział.

– Nie szkodzi – odparła nauczycielka. – Mnie nie przeszkadza.

Później Egger patrzył na śpiącą starą kobietę leżącą obok niego. Gdy znaleźli się w łóżku, położyła mu rękę na piersi, a serce w środku biło mu tak głośno, że

myślał, że cały pokój się rusza. Nie zadziało. Nie potrafił się przemóc. Leżał tak bez ruchu, jak skamieniały, i czuł, jak ręka na jego piersi robi się coraz cięższa, póki wreszcie nie zapadła mu się między żebra i nie legła bezpośrednio na sercu. Patrzył na jej ciało. Leżała na boku. Głowa zsunęła się jej z poduszki, a włosy rozsypały cienkimi kosmykami po prześcieradle. Twarz miała na wpół odwróconą. Wyglądała na wychudłą i zmizerowaną. W liczne zmarszczki zaplątało się, mogło się wydawać, światło nocy, wpadające do pokoju przez wąską szczelinę w zasłonach. Egger zasnął, a gdy się obudził, nauczycielka leżała na boku, zwinięta w kłębek, i słyszał jej stłumione przez poduszkę ciche łkanie. Przez chwilę niezdecydowany leżał obok, jednak potem zrozumiał, że nie ma niczego na tym świecie, co by dało się tu zrobić. Podniósł się cicho i wyszedł.

Jeszcze w tym samym roku we wsi pojawił się nowy nauczyciel, młody człowiek o chłopięcej twarzy i sięgających ramion, splecionych w warkoczyk włosach, który spędzał wieczory, robiąc swetry na drutach i rzeźbiąc z korzeni małe poskręcane krzyżyki. Spokój i dyscyplina dawnych dni nigdy już nie powróciły do szkoły, a Egger przyzwyczał się do hałasu za ścianą swojej sypialni. Nauczycielkę Annę Holler zobaczył jeszcze tylko raz. Szła z koszykiem na zakupy przez główny plac we wsi. Szła powoli, nienaturalnie drobnymi krokami, głowę miała opuszczoną i zdawała się całkowicie pogrążona w myślach. Gdy zauważyła Eggera, uniosła rękę i pomachała do niego palcami, tak jak się macha do małego dziecka. Egger szybko wbił wzrok w ziemię. Później wstydził się tej chwili tchórzostwa. Anna Holler opuściła wieś tak cicho i niepostrzeżenie, jak do niej przyjechała. W pewien zimny poranek, jeszcze przed wschodem słońca, wsiadła z dwiema walizkami do autobusu pocztowego <sup>\*\*\*\*\*</sup>, zajęła miejsce na samym końcu i zamknęła oczy, których, jak później opowiadał kierowca, ani razu nie otworzyła podczas całej podróży.

Tamtej jesieni wcześniej zaczął padać śnieg. Już kilka tygodni po wyjeździe Anny Holler narciarze znowu ustawiali się w długich kolejkach przed stacjami w dolinie i aż do późnej nocy wszędzie we wsi słychać było metaliczny brzęk wiązań i skrzypienie butów narciarskich. Pewnego zimnego, rozświetlonego słońcem dnia na krótko przed Bożym Narodzeniem Egger wracał do domu ze spaceru w śniegu z kilkorgiem starszych ludzi, gdy zobaczył po drugiej stronie ulicy idącą z przeciwnej strony grupę podnieconych turystów, za którymi podążało paru miejscowych, wioskowy żandarm i rzesza dzieci wrzeszczących jedno przez drugie. Dwóch młodych mężczyzn w narciarskich kombinezonach zrobiło z nart swego rodzaju nosze, a na nich leżało coś, co najwyraźniej wypadało transportować z najwyższą ostrożnością. Mężczyźni traktowali to coś z osobliwą czcią, przypominającą Eggerowi żarliwość, z jaką podczas niedzielnych nabożeństw ministranci krążyli wokół ołtarza. Przeszedł przez ulicę, by dokładniej obejrzeć sobie widowisko, ale to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Na prowizorycznych noszach leżał Rogaty Jasiek.

Przez chwilę Egger sądził, że postradał rozum, jednakże nie było wątpliwości – przed nim leżał pasterz kóz, względnie to, co z niego zostało. Ciało było zamrożone na kość. Brakowało mu chyba nogi, natomiast druga, groteskowo wyłamana, sterczała ponad „noszami”. Ramiona ciasno obejmowały pierś, z dłoni zwisały wyschnięte strzępy ciała, a niemal całkowicie odsłonięte kości palców były zakrzywione niczym ptasie szpony. Głowę miał mocno wygiętą, jakby ktoś z całej siły szarpnął ją do tyłu. Lód obdarł mu połowę twarzy do kości. Zęby wraz z niebieskoczarnymi dziąsłami były obnażone i wydawało się, że Jasiek się uśmiecha. Mimo że brakowało mu obu powiek, oczy miał nietknięte i szeroko otwarte zdawały się wpatrywać nieruchomym wzrokiem w niebo.

Egger odwrócił się, przeszedł parę kroków, znów się zatrzymał. Było mu niedobrze, a w uszach słyszał ciemny szum. Chciał coś powiedzieć mężczyznom – ale co? W głowie myśli mu tańczyły. Nie mógł się pozbierać, a gdy się znowu

odwrócił, tamci dawno już poszli. Daleko w dole ulicy szli ze swym zimnym jak lód ciężarem w kierunku kaplicy. Z jednej strony szedł żandarm. Z drugiej niczym cienki korzeń sterczała w powietrze noga pasterza kóz.

Kilkoro żądnych przygód narciarzy biegowych znalazło Rogatego Jaśka poza uczęszczanymi trasami w szczelinie Dalekiego Lodowca. Minęły całe godziny, nim wyrąbali go z lodu. Ciasnota szczeliny sprawiła, że ptaki i inne zwierzęta trzymały się od niej z dala, lód zaś przez dziesięciolecia zakonserwował ciało. Brakowało tylko nogi. Mężczyźni spekulowali, że może porwało ją jakieś zwierzę, zanim ciało osunęło się w szczelinę, może to skała mu ją odcięła, a może w akcie rozpaczony sam ją sobie odrąbał, by się uwolnić. Zagadka pozostała nierozwiązana, noga znikła, a kikut niczego nie zdradził. Był to po prostu zwykły kikut, pokryty delikatną warstwą lodu, lekko postrzępiony na brzegach, a w środku niebieskoczarny jak dziąsła pasterza kóz.

Nieboszczyka zanieiono do kaplicy, by każdy, kto chciał, mógł się z nim pożegnać. Ale poza kilkorgiem turystów, którzy chcieli na własne oczy obejrzyć tajemnicze lodowe zwłoki wystawione na marach w świetle świec i obfotografować je w miarę możliwości ze wszystkich stron, nie przyszedł nikt. Nikt nie znał Rogatego Jaśka, nikt o nim nie pamiętał, a ponieważ prognozy pogody zapowiadały wzrost temperatur, pochowano go już następnego dnia.

Nieoczekiwane spotkanie wstrząsnęło Eggerem. Niemal całe życie rozciągało się między zniknięciem Rogatego Jaśka a jego ponownym pojawieniem się. Oczami duszy widział, jak przezroczysta postać oddala się wielkimi susami i znika w białej ciszy śnieżnej zawieruchy. Jak zdołał dotrzeć do odległego o kilometry lodowca? Czego tam szukał? I co mu się ostatecznie przydarzyło? Eggera przeszedł dreszcz na myśl o nodze, która prawdopodobnie tkwiła gdzieś jeszcze w lodowcu. Może za parę lat ją również znajdą i na ramionach podnieconych narciarzy przyniosą do doliny jako kuriozalne trofeum. Rogatego Jaśka to wszystko przypuszczalnie nie obchodziło. Leżał teraz w ziemi zamiast

w lodzie i tak czy owak spoczywał w pokoju. Egger przypomniał sobie niezliczone trupy z czasów swego pobytu w Rosji. Grymasy na twarzach zwłok w rosyjskim lodzie należały do najstraszliwszych widoków w jego życiu. W przeciwieństwie do nich Rogaty Jasiak w osobliwy sposób sprawiał wrażenie szczęśliwego. W ostatniej godzinie śmiał się do nieba, pomyślał Egger, i cisnął diabłu w paszczę jako fant swoją nogę. Podobała mu się ta wizja, miała w sobie coś pocieszającego.

Jednak była jeszcze inna myśl, która go zaprzętała: zamrożony pasterz kóz patrzył na niego niczym przez okno w czasie. W wyrazie jego skierowanej ku niebu twarzy było coś wręcz młodzieńczego. Gdy Egger znalazł go śmiertelnie chorego w chacie i niósł na drewnianym nosidle do doliny, pasterz mógł mieć około czterdziestu bądź pięćdziesięciu lat. Egger zdążył już tymczasem dobrze przekroczyć siedemdziesiątkę i nie czuł się ani trochę młodszy. Życie i praca w górach pozostawiły swoje ślady. Wszystko w nim było krzywe i poskręcane. Plecy zdawały się ciasnym łukiem zmierzać ku ziemi i coraz częściej miał poczucie, że kręgosłup wyrasta mu nad głową. Wprawdzie nadal jeszcze pewnie stapał po górach i nawet wiejące od nich jesienią gwałtowne wichry nie zdołały nim zachwiać. Ale stał tak niczym drzewo, którego wewnątrz jest już spróchniałe.

---

\*\*\*\*\* W Austrii do dziś największym przewoźnikiem autobusowym jest spółka, której historyczne korzenie tkwią jeszcze w poczcie królewsko-cesarskiej, zajmującej się również przewozem osób. Na początku XX w. zastąpiła ona dotychczasowe dyliżansy pocztowe tzw. autobusami pocztowymi.

W ostatnich latach życia Egger nie przyjmował już żadnych zleceń, które i tak stawały się coraz rzadsze. Uznał, że dość się w życiu natyrał. Ponadto coraz gorzej znosił paplaninę turystów i ich bezustannie zmieniające się niczym pogoda w górach humory. A gdy pewnego razu omal nie spoliczkował młodego mieszczucha, który stojąc na skale z zamkniętymi oczami, tak długo z czystego szczęścia kręcił się wokół własnej osi, póki nie runął na rozciągające się poniżej piarżysko, a Egger z resztą grupy musieli znieść go szlochającego jak dziecko w dolinę, zakończył swoją karierę przewodnika górskiego i wycofał się z publicznego życia.

Liczba mieszkańców wsi potroiła się od czasu zakończenia wojny, z kolei liczba łóżek dla gości wzrosła niemal dziesięciokrotnie, co skłoniło gminę nie tylko do budowy ośrodka rekreacyjnego wraz z pływalnią i parkiem zdrojowym, lecz również do dawno już oczekiwanego powiększenia szkoły. Egger wyprowadził się jeszcze przed nadejściem budowlańców. Spakował swój skromny dobytek i przeniósł się do porzuconej przed dziesiątkami lat obory kilkaset metrów nad tylnym krańcem wsi. Obora była wciśnięta w zbocze niczym grotą, co miało tę zaletę, że przez cały rok temperatura wewnątrz nie ulegała większym wahaniom. Przednią ścianę stanowił nasyp zwietrzałych gładów, dziury pomiędzy nimi Egger pozatykał mchem, a później cementem. Uszczelnił szpary w drzwiach, pociągnął drewno dziegiem sosnowym i zdrapał rdzę z zawiasów. Następnie wyrwał dwa kamienie ze ściany i wprawił w to miejsce okno oraz rurę pokrytego czarnym kopciem piecyka, który znalazł na wysypisku za dolną stacją kolejki linowej na Chłopkową Kopę. Dobrze się czuł w swoim nowym domu. Czasami na górze było nieco samotnie, ale nie uważał samotności za coś złego. Nie miał nikogo, lecz miał wszystko, czego potrzebował, i to wystarczało. Widok z okna był rozległy, piec był ciepły, a najdalej po pierwszej



zimie, podczas której ogrzewał wnętrze, znikła na dobre przenikliwa woń kóz i bydła. Egger przede wszystkim rozkoszował się ciszą. Harmider, jaki zdążył tymczasem zapanować w całej dolinie i w weekendy uderzał w górskie zboczami fale przyboju, docierał do niego tylko cichym pogłosem. Niekiedy w letnie noce, gdy chmury wisały nisko nad górami, a powietrze pachniało deszczem, leżał na materacu i przysłuchiwał się odgłosom zwierząt, które nad jego głową ryły w ziemi; zimą słuchał wieczorami głuchego warkotu ratraków, które w oddali przygotowywały trasy zjazdowe na następny dzień. Coraz częściej zdarzało mu się teraz myśleć o Marie. O tym, co było, i o tym, co być mogło. Ale to były tylko krótkie, ulotne myśli, które przelatywały tak szybko jak strzępy chmur burzowych za oknem.

Jako że nie było nikogo, do kogo mógłby się odezwać, rozmawiał często sam ze sobą lub z rzeczami, które go otaczały. Mówił: „Nie nadajesz się do niczego. Jesteś za tępy. Wyostrzę cię na kamieniu. A potem zejść do wsi i kupię drobnoziarnisty papier ścierny, i zeszlifuję cię jeszcze raz. I obwinę ci rękojeść skórą. Będziesz dobrze leżał w dłoni. I będziesz dobrze wyglądał, choć w ogóle nie o to chodzi, rozumiesz?”.

Albo mówił: „Przy tej pogodzie człowiek robi się markotny. Nic, tylko mgła. Spojrzenie ci się gubi, bo nie wiadomo, gdzie ma się zaczepić. Jeśli tak dalej pójdzie, to mgła niedługo wpełźnie mi do pokoju i nad stołem zacznie padać kapuśniaczek”.

Mówił też: „Wkrótce nadejdzie wiosna. Ptaki już ją zobaczyły. W kościach się ją czuje. A głęboko pod śniegiem puszczają się już cebulki”.

Czasami Egger nie mógł powstrzymać się od śmiechu z siebie i swoich myśli. Siedział wtedy sam przy stole, patrzył przez okno na góry, nad którymi cicho przesuwwały się cienie obłoków, i śmiał się do łez.

Raz w tygodniu schodził do wsi, by zaopatrzyć się w zapalki i farbę lub chleb, cebulę i masło. Dawno już się zorientował, że ludzie plotkują na jego

temat. Gdy z zakupami załadowanymi na własnoręcznie zrobione sanki, wyposażone na wiosnę w gumowe kółeczka, ruszał w drogę powrotną, widział kątem oka, jak za jego plecami głowy chyla się ku sobie i zaczynają szeptać. Wtedy odwracał się i rzucał im najcięższe spojrzenie, do jakiego był zdolny. Jednak tak naprawdę opinie i utyskiwania mieszkańców wsi były mu obojętne. Dla nich był tylko starcem, który mieszkał w ziemiance, rozmawiał sam ze sobą i rano kuczał przy górskim potoku, żeby się umyć. Jednakże jego zdaniem całkiem nieźle sobie poradził i dlatego też miał wszelkie powody do zadowolenia. Pieniądze, które zarobił niegdyś jako przewodnik, pozwalały mu jeszcze żyć spokojnie przez jakiś czas, miał dach nad głową, spał we własnym łóżku, a gdy sadowił się na małym stołeczku przed progiem, mógł tak długo napawać się widokiem, póki powieki mu nie opadły, a broda nie osunęła się na pierś. Jak wszyscy ludzie także i on nosił w sobie przez całe życie wizje i marzenia. Niektóre z nich sam zrealizował, niektóre zostały mu dane. Wiele pozostało nieosiągalnych lub też, gdy po nie sięgnął, wydarto mu je z rąk. Ale nadal był tutaj. A kiedy po pierwszych roztopach wychodził porankiem na mokrą od rosy łąkę przed chatą i kładł się na jednym z rozsianych tam płaskich głazów, czując zimny kamień pod plecami, a na twarzy pierwsze ciepłe promienie słońca, wtedy miał uczucie, że wiele rzeczy wcale nie poszło tak źle.

\*

Również w owym czasie, czasie po wiosennych roztopach, gdy we wczesnych godzinach porannych ziemia parowała, a zwierzęta wypełzały ze swych jam i nor, Andreas Egger napotkał Zimną Panią. Godzinami przewracał się bezsennie na materacu w jedną i w drugą stronę; później już leżał spokojnie z rękoma skrzyżowanymi na piersi i nasłuchiwał odgłosów nocy. Niespokojnego wiatru, który krążył wokół chaty i głuchymi uderzeniami walił w okno. Nagle zrobiło się cicho. Egger zapalił świecę i zapatrzył się w migocące cienie na

suficie. Zgasił ją. Przez chwilę leżał bez ruchu. Wreszcie wstał i wyszedł na dwór. Świat pogrążony był w nieprzejrzystej mgle. Była jeszcze noc, ale gdzieś tam za tą miękką ciszą szarzał już dzień i w ciemności powietrze przeblyskiwało jak mleko. Egger wspiął się kilka kroków po stoku. Z trudem dostrzegał zarysy własnej dłoni uniesionej do oczu, a gdy ją wyciągnął przed siebie, zdawało się, że pogrążyła się w głębokiej, nieprzeniknionej tafli wody. Szedł dalej, ostrożnie, krok za krokiem, kilkaset metrów pod górę. Z daleka usłyszał dźwięk niby przeciągły gwizd świstaka. Zatrzymał się i podniósł wzrok. Przez dziurę we mgle widać było księżyc, biały i nagi. Nagle poczuł na twarzy lekki powiew. A w następnej minucie wiatr powrócił. Uderzał w pojedynczych porywach, targając mgłę na strzępy i roznosząc je wokół. Egger słyszał wycie wichru obiegającego wyżej położone skały i szept traw u swych stóp. Szedł dalej przez pasma mgły, które rozpiechwały się przed nim na boki niczym żywe stworzenia. Widział, jak niebo się otwiera. Widział płaskie głązy, na których leżały resztki śniegu, jak gdyby ktoś rozpostarł na nich białe obrusy. A potem zobaczył Zimną Panią, jak jakieś trzydzieści metrów wyżej przecinała stok. Jej postać była całkowicie biała, tak że w pierwszej chwili wziął ją za kłąb mgły. Jednak wnet rozpoznał wyraźnie jej blade ręce. Znoszoną chustę otulającą ramiona. I jej włosy, niczym cień nad białą ciałą. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Nagle poczuł ziąb. Ale to nie powietrze było takie zimne. Ziąb szedł z jego wnętrza. Tkwił głęboko w sercu i był grozą. Postać szła w stronę skupiska wąskich skał, ale mimo że szybko posuwała się naprzód, Egger nie mógł rozróżnić jej kroków. Zdawało się, jakby jakiś ukryty wśród skał mechanizm przyciągał ją do nich. Nie śmiał nawet drgnąć. Groza tkwiła w jego sercu, lecz dziwnym trafem równocześnie bał się, że jakimś szelestem czy innym nieprzemyślanym poruszeniem mógłby spłoszyć postać. Widział, jak wiatr zaplątał się jej we włosach i zwał je na mgnienie oka z karku. I wtedy wiedział już wszystko.

– Odwróć się! – powiedział. – Błagam, odwróć się i spójrz na mnie! – Jednak

postać oddalała się coraz bardziej i Egger widział tylko jej kark, na którym lśnił czerwonawy półksiężyc blizny. – Gdzie byłaś tak długo? – zawołał. – Jest tyle do opowiadania. Marie, nie uwierzysz! Całe długie życie! – Nie odwróciła się. Nie odpowiedziała. Słysząc było tylko szum wiatru, jego wycie i wzdychanie, gdy krążył nad ziemią i porywał ze sobą ostatni tego roku śnieg.

Egger stał samotnie na górze. Stał tak długo i nie ruszał się, a wokół niego powoli znikwały cienie nocy. Gdy wreszcie się poruszył, za odległymi łańcuchami górskimi błysnęło słońce i zalało szczyty światłem tak miękkim i pięknym, że gdyby nie był tak zmęczony i zdezorientowany, zaczęłby się śmiać z czystego szczęścia.

W kolejnych tygodniach Egger wciąż na nowo przemierzał skaliste zbocza za swoim domostwem, jednak Zimna Pani czy też Marie, czy też kimkolwiek było to zjawisko, nigdy już mu się nie ukazała, a jej obraz powoli blakł, póki całkiem się nie zatarł w pamięci. Egger w ogóle zrobił się zapominalski. Zdarzało się, że po wstaniu z łóżka przez ponad godzinę szukał butów, które wieczorem zawiesił na rurze pieca, żeby wyschły. Albo też zastanawiając się, co właściwie chciałby przyrzadzić sobie na kolację, popadał w rodzaj smętnej zadumy, która go tak bardzo wyczerpywała, że zasypiał, często jeszcze siedząc przy stole z głową wspartą na dłoniach, nie zjadłszy ani kęsa. Niekiedy przed pójściem spać stawiał sobie stołek przy oknie i wyglądał przez nie z nadzieją, że na tle nocy wyłonią się pojedyncze wspomnienia, które zaprowadzą przynajmniej trochę porządku w jego skołowanym umyśle. Ale coraz częściej myliła mu się kolejność wydarzeń, rzeczy koziółkowały jedne przez drugie, a gdy tylko w duchu zdawał mu się składać jakiś obraz, natychmiast znowu umykał, wyslizgiwał się lub rozplątywał jak olej smarowy na gorącym żelazie.

\*

Najpóźniej od chwili, kiedy to w pewien mroźny zimowy poranek paru

narciarzy zobaczyło go, jak goły jak święty turecki wyszedł przed chatę i brnął boso po śniegu, próbując odnaleźć butelkę piwa, którą poprzedniego wieczoru położył gdzieś na dworze, żeby się schłodziło, kilkoro ludzi ze wsi uznało starego Eggera za kompletnego obłąkańca. Nie przeszkadzało mu to. Zdawał sobie sprawę ze swego rosnącego zagubienia, ale nie był obłąkany. Zresztą w owym czasie nie zwracał już w zasadzie uwagi na cudze opinie, a ponieważ butelka po krótkich poszukiwaniach faktycznie się odnalazła (i to tuż obok rynny, nocny mróz ją rozsadził i teraz Egger mógł ssać piwo niczym lody na patyku), przynajmniej tego jednego dnia poczuł z cichym zadowoleniem słuszność swych myśli i czynów.

Zgodnie z aktem urodzenia, który zresztą jego zdaniem nie był wart nawet tyle, co tusz do widniejącej na nim pieczęci, Egger miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Wytrzymał dłużej, niż sam by kiedykolwiek przypuszczał, i ogólnie rzecz biorąc, mógł być zadowolony. Przeżył dzieciństwo, wojnę i lawinę. Nigdy nie gardził żadną pracą, wysadził niezliczoną liczbę otworów w skałach i prawdopodobnie zwałił dość drzew, by ich drewnem ogrzać piece niewielkiego miasteczka przez całą zimę. Jego życie bezustannie dyndało na włosku między niebem a ziemią, a w ciągu ostatnich lat jako przewodnik dowiedział się o ludziach więcej, niż był w stanie pojąć. Wedle jego rozeznania nie ciążyła na nim żadna poważna wina i nigdy nie uległ pokusom tego świata, pijaństwu, rozpuście ni obżarstwu. Zbudował dom, spał w niezliczonych łóżkach, w oborach, na rampach ładunkowych, a kilka nocy nawet w rosyjskiej drewnianej skrzyni. Kochał. I zaznał przedsmaku tego, dokąd ta miłość mogła zaprowadzić. Widział, jak kilku mężczyzn spacerowało po Księżycu. Nigdy nie zwątpił w Boga i nie bał się śmierci. Nie potrafił sobie przypomnieć, skąd pochodzi, a koniec końców nie wiedział też, dokąd zmierza. Jednak mógł bez żalu spoglądać na czas między tymi punktami, na swoje życie, z raptownym śmiechem i jednym wielkim zdumieniem.

Andreas Egger zmarł w noc lutową i to nie gdzieś pod gołym niebem, jak sobie często wyobrażał, ze słońcem na karku lub niebem gwiaździstym nad czołem, lecz u siebie w domu, przy stole. Świece mu się skończyły i siedział w skąpym świetle księżyca, który wisiał w niewielkim kwadracie okna niczym przyćmiona kurzem i pajęczynami żarówka. Myślał o rzeczach, które zaplanował sobie na następne dni: kupić parę świec, uszczelnić szparę w futrynie okiennej, przez którą wiało, wykopać przed chatą głęboki do kolan i szeroki co najmniej na trzydzieści centymetrów dół, by odprowadzać wodę roztopową. Pogoda będzie sprzyjać, tyle mógł powiedzieć ze sporą pewnością. Gdy pod wieczór noga mu nie dokuczała, pogoda zwykle również dopisywała następnego dnia. Na myśl o nodze ogarnęło go ciepłe uczucie, o tym zmurszałym kawałku drewna, który tak długo nosił go po świecie. Zarazem nie był pewien, czy jeszcze to pomyślał, czy też już śnił. Usłyszał jakiś szmer, tuż przy uchu. Łagodny szept, tak jakby ktoś mówił do małego dziecka. „Przecież już późno” – usłyszał siebie samego i miał wrażenie, jakby jego własne słowa unosiły się przez kilka chwil w powietrzu, zanim pękły w świetle niedużego księżyca w oknie. Poczuł przenikliwy ból w piersi i ujrzał, jak jego tułów z wolna przechyla się do przodu, a głowa kładzie policzkiem na blacie. Usłyszał własne serce. I usłyszał ciszę, gdy przestało bić. Cierpliwie czekał na następne uderzenie. A gdy nie nadeszło, ustąpił i zmarł.

Trzy dni później znalazł go listonosz, który stukał w okno, by dostarczyć mu gminną gazetę. W zimowych temperaturach zwłoki Eggera dobrze się zachowały i wyglądało to tak, jakby zasnął przy śniadaniu. Pogrzeb odbył się następnego dnia. Proboszcz trząsł się z zimna, gdy grabarze opuszczali trumnę do dołu, który uprzednio wykopali niewielką koparką w zamrzniętej ziemi. Andreas Egger leży obok swojej żony Marie. Na grobie stoi grubo ciosany, spękany wapień, na którym w lecie rośnie bladofioletowa lnicia.

Pewnego ranka, niecałe sześć miesięcy przed śmiercią, Egger zbudził się ogarnięty wewnętrznym niepokojem, który wypędził go z łóżka na dwór, ledwie mrugnął oczami. Był początek września i tam, gdzie promienie słońca przebiły się przez pokrywę chmur, widział odbłaski i odbłyски samochodów dojeżdżających do pracy ludzi, którzy z jakichś powodów nie znaleźli zatrudnienia w turystyce i dlatego każdego ranka tworzyli wąż na drodze, by w porę dotrzeć do swych zajęć poza doliną. Eggerowi podobał się ten barwny łańcuch samochodów, wijący się na krótkim odcinku – rozmywał się gdzieś w zamglonym świetle i nie znikał. Równocześnie widok ten napawał go smutkiem. Pomyślał o tym, że – pomijając wyjazdy do pobliskich kolejek i wyciągów linowych firmy Bittermann i Synowie – opuścił okolice tylko jeden jedyny raz, a mianowicie na wojnę. Myślał o tym, jak kiedyś tą właśnie ulicą, wówczas raczej zwykłą polną drogą, przeoraną głębokimi koleinami, po raz pierwszy przybył do doliny na koźle furmanki. I w tym momencie ogarnęła go tak głęboka i paląca tęsknota, że miał wrażenie, iż serce mu pęknie. Nie oglądając się na nic, puścił się biegiem. Najszybciej jak mógł, kuśtykając, potykając się, popędził w dół do wsi, gdzie na przystanku tuż obok strzelistego hotelu pocztowego stał już z włączonym silnikiem, gotowy do odjazdu żółty autobus linii nr 5, tak zwanej linii Siedmiu Dolin.

– Dokąd jedziemy? – zapytał kierowca, nie podnosząc wzroku. Egger znał tego człowieka, pracował przez kilka lat w warsztacie narciarskim w dawnej kuźni, zajmując się wiązaniami, zanim artretyzm nie pokrzywił mu palców, przez co musiał szukać posady w spółce autobusowej. W jego rękach kierownica wyglądała jak wąska, zabawkowa opona.

– Na końcowy przystanek! – powiedział Egger. – Dalej i tak się nie da.

Kupił bilet i usiadł na wolnym miejscu w tylnych rzędach, między zmęczonymi ludźmi ze wsi, których po części znał z widzenia i którym albo brakowało pieniędzy na własny samochód, albo też byli już za starzy, by sobie

poradzić z techniką i prędkością. Serce biło mu jak oszalałe, gdy drzwi się zamknęły i autobus ruszył. Egger zapadł się w fotel i zamknął oczy. Tak minął jakiś czas, a gdy się wyprostował i znowu otworzył oczy, wieś zniknęła i widział przemykające obiekty na skraju drogi: małe, wyskakujące pośród pól pensjonaty. Motele. Szyldy stacji benzynowych. Tablice reklamowe. Zajazd z pościelą wywieszoną we wszystkich otwartych oknach. Kobieta przy płocie, z ręką wspartą na biodrze, twarz nieostra i rozplywająca się w papierosowym dymie. Egger usiłował się skupić, jednak potok obrazów go znużył. Zanim zasnął, próbował na nowo wzbudzić w sobie tęsknotę, która wyгнаła go z doliny. Ale na próżno. Przez chwilę sądził jeszcze, że odczuwa lekkie pieczenie w okolicy serca, jednak było to tylko złudzenie i gdy się zbudził, nie mógł już sobie przypomnieć, czego chce i czemu w ogóle siedzi w tym autobusie.

Na końcowym przystanku wysiadł. Przeszedł parę kroków po przerośniętej chwastami betonowej płycie, po czym się zatrzymał. Nie wiedział, w którą stronę ma iść. Plac, na którym stał, ławki, niski budynek przystanku, stojące za nim domy nic mu nie mówiły. Zrobił jeszcze jeden niepewny krok i znowu się zatrzymał. Zimno mu się zrobiło. Wybiegając z domu na łeb na szyję, zapomniał włożyć kurtkę. Nie pomyślał o tym, by wziąć kapelusz, i nie zamknął chaty. Po prostu popędził przed siebie i teraz tego żałował. Gdzieś daleko słyhać było gwar głosów, wołanie dziecka, trzask drzwi samochodu, narastający, a potem szybko cichnący odgłos silnika. Egger trzął się teraz tak mocno, że chętnie by się czegoś uchwycił. Spojrzał na ziemię i bał się ruszyć. Oczami duszy widział siebie samego, jak tak stoi, stary człowiek, bezużyteczny i zagubiony, pośrodku pustego placu, i wstydził się jak jeszcze nigdy w życiu. W tej chwili poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, a gdy się z wolna obrócił, zobaczył przed sobą kierowcę autobusu.

– Dokąd właściwie chce pan iść? – zapytał mężczyzna. Stary Egger stał tylko i z rozpaczą szukał odpowiedzi.



– Nie wiem – powiedział i powoli kilkakrotnie potrząsnął głową. – Po prostu nie wiem.

\*

Podczas jazdy powrotnej Egger siedział na tym samym miejscu, które znalazł sobie na wyjazd z doliny. Kierowca pomógł mu wsiąść do autobusu i podprowadził do tyłu, nie żądając biletu i w ogóle nie mówiąc już ani słowa. Mimo że Egger tym razem nie zasnął, to jazda wydała mu się krótsza. Czuł się lepiej, serce mu się uspokoiło, a gdy autobus po raz pierwszy zanurzył się w błękitne cienie gór, drżenie również znikło. Patrzył przez okno i zupełnie nie wiedział, co powinien myśleć czy czuć. Tak długo nigdzie nie wyjeżdżał, że zapomniał, jak się człowiek czuje, wracając do domu.

Na przystanku we wsi pożegnał się z kierowcą skinieniem głowy. Właściwie chciał jak najprędzej wrócić do domu, jednak gdy zostawił za sobą ostatnie domy i czekała go już tylko wspinaczka niczym po schodach do chaty, uległ nagłemu przyływowi fantazji i skręcił w lewo na rzadko uczęszczaną ścieżkę, która wiodła wokół bezimiennego, zielonego jak mech stawu i wiała się w górę aż do Dzwonnika. Czas jakiś szedł drogą wzdłuż szeregu drucianych siatek postawionych przez gminę, by chronić wieś przed lawinami, potem przekroczył wąską rozpadlinę zabezpieczoną głęboko wbitymi w skałę żelaznymi beleczkami, i wreszcie przeciął położoną w cienistej niecce łąkę zwaną Karwiesen. Trawa mokro lśniła, a z ziemi unosił się zapach zgnilizny. Egger biegł prędko, ruch przychodził mu z łatwością, zapomniał o zmęczeniu i już nie czuł zimna. Miał wrażenie, jakby z każdym krokiem zostawiał za sobą cząstkę samotności i rozpacz, które schwytały go tam na dole, w obcym miejscu. Słyszał, jak krew szumi mu w uszach i czuł chłodny wiatr, osuszający mu pot na czole. Dotarwszy do najniższego punktu niecki, zauważył ledwo dostrzegalne poruszenie w powietrzu. Coś małego i białego, co tańczyło mu tuż przed oczami. I zaraz za

nim jeszcze jedno. I w następnej chwili powietrze pełne było niezliczonych, maleńkich strzępków obłoków, które powolutku, płynnym ruchem opadały na ziemię. W pierwszej chwili Egger myślał, że to kwiaty, które wiatr skądś tu przywiał, jednak był koniec wrzeźnia i o tej porze dawno już nic nie kwitło, a na pewno nie na tej wysokości. I wtedy zorientował się, że to pada śnieg. Śnieg padał z nieba coraz gęściej i osiadał na skałach i na soczystych, zielonych łąkach. Egger szedł dalej. Patrzył uważnie pod nogi, by się nie pośliznąć, a co kilka metrów ocierał sobie grzbietem dłoni śnieżynki z rzęs i brwi. I wtedy wezbrało w nim wspomnienie, ulotna myśl o czymś, co wydarzyło się bardzo dawno temu, niewiele więcej niż zatarty obraz.

– Jeszcze nie pora – powiedział cicho i zima zapadła w dolinie.

Tytuł oryginału: *Ein ganzes Leben*

© Hanser Berlin im Carl Hanser Verlag München 2014

Copyright © for the translation by Ewa Kochanowska

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Opracowanie typograficzne książki: Wydawnictwo PLUS

Adiustacja, korekta, łamanie: Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Matthew Garrett / Picador Art Department

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

Fotografie na okładce: chata – © whitewizzard / Can Stock Photo Inc. wędrowiec  
– © Anton Gvozdikov / Shutterstock.com

Grafika na okładce – © Angie Makes / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-676-8



**OTWARTE**

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)